

kamena



NR 11 (778)

22 maja - 5 czerwca 1983

CENA 10 ZŁ

DLA KOGO GRA „GÓRNIK”?

Waldemar Piasecki

JUZ po manifestacji 1-majowej. Różne kapela podwórkowa domu kultury pod dyktando Zbycha Kisilewicza. Ubrani jak na wesele. Granatowe spodnie, białe koszule.

Ale bez marynarek, bo gorąco. Poza jednym wyjątkiem: solista może dziesięcioletnim. Chłopaczek ma na sobie garniturek niebieski i koszulę zapiętą pod szyję, choć słońce przygrzewa zdrowo. Śpiewa:

Trzeba łysych pokryć papą,
lecz funduszy nie ma na to.

Dyrektor domu kultury, znany kabareciarz, Grzegorz Michalec, podpora „Łoży 44” i krakowskich „Spotkań z balladą”, patrzy na małego śpiewaka.

— Ma chłopak luz, nie?

— Owszem — zgadzam się. — Twoja szkoła?

— Powiedz mi, że on jest ode mnie. Z domu kultury. Niezły jest, co? Ma ten luz. Z tym to może zajść daleko. Nie?

— Tak.

Tak sobie gadamy prawie „kabaretowo”,

Jak fundusze zdobędziemy,
łysych papą pokryjemy.

Zwalisty, mężczyzna w górniczym mundurze, z pokaźnym czołem, nakłada czapkę z białymi piórami. Na lewej piersi odznaczenia i medale. Robi to wyraźnie pod wpływem tekstu z estrady, co budzi wesołość jego dwóch kompanów.

Czterech łysych się zebrało,
rolkę papę ukradła chciwa.

Młody artysta, jak się okazuje, Mariusz Grochowski, ciągnie spokojnie, a do Grześka Michaleca podchodzi przez Jerzy Tryka.

— Grzesiu! Zrób coś, żeby zeszli mi z boiska. O dwunastej mecz, a zobacz, jak naśmiecili. Niech idą na trybuny, a my to jakoś posprzątam.

— Jak? Trzeba by sprzęt przestawić na estradzie. Nie, to się nie przyjmie...

— Ale przecież mecz...

— Nie było decyzji — grzmi „pryncypalnie” Michalec.

Tryka macha ręką i rusza przez boisko do pawilonu. Ludzie się kłębą, dzieciaki blegają i wrzeszczą. Ten liże loda. Tamten je kotleta mielonego z bułką i musztardą, popijając cieczą o barwie atramentu „Watermana” („zieleń tropikalna”), modnego kiedyś bardzo. Ktoś komuś zaginał. Jakaś dziewczynka płacze, bo jej przebił balonik. Festyn.

— Zobacz, zrobiliśmy boisko treningowe. Szkoda nam głównej płyty i tak nie najlepszej przecież... Najpierw, wiesz, poszło trzydzieści centymetrów żuźla, potem ziemia i humus. Teraz się to wywaluje dokładnie i posieje trawę — informuje sprawnie przez.

O dwunastej będzie wielki mecz. Gra Przedsiębiorstwa Robót Górniczych przeciwko Kopalniom Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Taka już tra-

dycja. Grają czwarty raz. Dwa razy był remis, raz wygrali górnicy z KLZW. Dziś PRG pała chęcią skutecznego rewanżu. Wstyd, gdyby nie wygrali. Przecież PRG ma „Górnik”!

— No tak. Faktycznie „Górnik” łączna jest naszym peergowskim klubem — mówi Tryka. — Założyliśmy go w 1979 roku, latem. Jeszcze wtedy przy Kombinacie Robót Górniczych. Sprawę bardzo popierał ówczesny dyrektor Włodzimierz Mięsiowicz, doskonały manager i zapalony kibic sportowy. Oficjalnie GKS „Górnik” powstał we wrześniu 79-go. Na początek z piłką nożną.

— W C-klasie zdaje się?

Jerzy Tryka protestuje:
— Nie. Wyrażono zgodę na udział w rozgrywkach od razu w klasie B. OZPN uznał, że nie ma sensu, żebyśmy tracili ten sezon.

Istotnie. Nawet z tą B-klasą to też nie miało sensu, bo GKS poszedł jak burza i wykosił wszystkich przeciwników bez straty punktu. Następnie w sezonie 1980/81 rozprawił się z A-klasą i awansował do ligi okręgowej. Tu gra drugi sezon. W ubiegłym zajął piąte miejsce. Dziś jest liderem z przewagą gwarantującą zwycięstwo i udział w barażach o wejście do III ligi. Tak — w skrócie.

A dłużej? Można tak...

— Panie szanowny, czyś pan widział, żeby górnik obył się bez „bala” (piłki)? Ano widział pan,

Dokończenie na str. 8—9

Konopielka z Podlasia

Anna Bocian

BEZ pretensji do życia osada drzemała w opłotkach. Za wąską sztachetą trwał świat skurczony między garnkiem a łózkami. Ale baczne oczy mieszkańców zapowiadały, że bywa jeszcze inny horyzont, do którego docierają myśli.

Rozjeżdżony w cztery strony świata majdan na środku osady musiał mieć dobre wspomnienia z czasów karet i świetności zajazdu, obecnie składu węgla. Jeszcze niedawno był tu bar, dopóki dach nie zapadł się między kufle z piwem. Teraz zastąpił go barak, wyglądający trochę lepiej niż przystanek autobusowy; gruba bufetowa zastąpiła arendarza, lada chłodnicza — szynkwas, a obeszła mortadela — kiełbaskę z czosnkiem. We dworze urzędniczeki w niebieskich sweterkach ogryzały długopisy. A jeżeli starzały się bez słowa skargi, to co? Stare kobiety schodziły po piaszczystej drodze z kanami i koszykami, przystawały przy

plotach; jak tajna policja, wszystko wiedział i widział.

Do młodej lekarki szło się drogą za cementarzem, koło bruku w prawo. Znalazła mieszkanie na końcu świata, a mimo to, idąc tam czuło się pod nogami mękkość plotkarskich języków, uczynnie wyłożonych jak chodnik dla biskupa. Inna sprawa, że nie ma nic przyjemniejszego od piaszczystej drogi po deszczu.

Dom pani Marii stał na pograniczu obyczajów. Na wyszczypanym przez gęsi podwórku działo się już tyle, że nawet szacunek dla utytułowanej wiedzy medycznej nie mógł powstrzymać świętego oburzenia...

— Nosi się jak z monstrancją na głowie, kochana moja — kobieta z usmiechem wyrozumiałej jędzy oparła się o plot. — Ze taka uczona. Może i uczona, ale mądrości to u niej tyle — pokazała brudny paznokieć. — Żeby koltun ścinać? Kobieta przychodzi z chorym dzieckiem, a ta cap za nożyczki. Coś jeszcze powiem! Widziałam sa-

Dokończenie na str. 4



Rys. Zygmunt Pyłlik

z notatnika

10 V. Poza nami i Kongres Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Trzy dni obrad, sto kilkadziesiąt przemówień, kilka uchwał i apeli.

O dyskusji można powiedzieć jedno: nie była sterowana. Wielu mówców zawierało własnej pamięci, nie czytano, co w przeszłości na różnego rodzaju kongresach należało raczej do rzadkości, a niekiedy było wręcz niedopuszczalne. Mówić trzeba jednak... umieć, osobiście wole, jeśli ktoś czyta z sensem niż mówi bez... Jeden z dyskutantów (przy aplauzie części delegatów) domagał się wstrzymania importu zboża, bo Polska może wyżyć się sama. Hasło samowystarczalności jest piękne, na razie jednak gorzej z jego realizacją...

Nie brałem udziału w Kongresie, ale idee przedstawione w referacie programowym jak i w podjętych uchwałach są mi bliskie. Teraz czas na działania, a nie czas „na swary i podziały” (z apelu Kongresu do społeczeństwa).

11 V. W KW MO w Lublinie konferencja prasowa. Temat: działania milicji podejmowane w zakresie ochrony ludności, zwalczania przestępstw pospolicznych, gospodarczych oraz podziemia politycznego.

Jest to już nie pierwsza tego typu konferencja. I dobrze, bo z pierwszej ręki można się dowiedzieć, co piszczy na trawie i co próbuje panoszyć się na bruku. Ulotki przygotowywane przez tzw. podziemie w okresie przed 1 i 3 maja nie blyszczą oryginalnością. Pewne słowa, jeśli ich się często używa, dewalują się, płyta skrzeszy, zaczyna się... Znamy to zresztą dobrze z nie tak znów dawnej przeszłości.

Na konferencji podziemie polityczne nie stanowiło jednak w istocie tematu wiodącego. Dziennikarze interesowali się przestępczością pospolicą i kryminalną, zastanawiano się, co robić, aby zmniejszyła się liczba kradzieży i włamań do mieszkań. Milicja liczy tu bardzo na pomoc społeczeństwa. W wielu wypadkach właśnie dzięki współdziałaniu nas wszystkich z funkcjonariuszami MO udało się pochwylić pospolicznych bandziorów.

W tym miejscu może warto zapoznać się z pewnymi doświadczeniami amerykańskimi w tej dziedzinie. W Nowym Jorku przeszło 70 tysięcy ludzi jest zarejestrowanych w policji jako tzw. block watchers (obserwatorzy bloków). Obserwują oni najczęściej ze swoich mieszkań, co się dzieje na ulicy. Wielu spośród nich jest emerytami, którzy i tak godzinami wysiadają w oknie i przyglądają się życiu na ulicy. Na dwugodzinnych kursach policyjnych dowiedzieli się, na co powinni zwracać uwagę. „Oczami i uszami” mają stać się również... listonosze. Wędrują oni codziennie tymi samymi ulicami i dzwonią do tych samych drzwi. Wiedzą natychmiast, jeśli coś jest nie w porządku...

U nas rzecz taka raczej nie przejdzie, chociaż w tych superdemokratycznych (ponoć) Stanach zdaje to egzamin. Nie mam własnego zdania w tej sprawie, choć wydaje mi się, że

milicja i ORMO nie są w stanie wszystkiego dopilnować. Milicjantów zatrudniono nawet w akcji „Posesja”. Zgoda — troska o czystość i porządek to sprawa wielkiej wagi, ale od czego są administracje domów, osiedli? A swoją drogą warto by wreszcie konkretnie sprecyzować, czym powinna na co dzień zajmować się milicja. Możliwość wielbłąda też mają jakieś granice... Porozmawiajmy z milicjantami bez gwiazdek!

15 V. Po remisie Resovii z Radomiakiem (w Rzeszowie) Motor, który na własnym boisku pokonał Polonię Bytom, objął prowadzenie w tabeli. Ma wprawdzie tyle samo punktów, co Resovia, ale lepszą różnicę bramek. Motor, który znakomicie spisuje się w rundzie wiosennej (chwała Cmikiewicze!), ma realne szanse na powrót do ekstraklasy. Z gratulacjami jednak się nie spieszymy, aby nie zapeszyć.

W lidze angielskiej i miejsce zajął Liverpool, który nie mając już nic do stracenia i zyskania pozwolił się pokonać przez drużynę Watford. Ponieważ Manchester Utd. przegrał na wyjeździe z Notts County, Watford zajął ostatecznie drugie miejsce w tabeli, co może uważać za swój wielki sukces. Pewną niespodzianką było zwycięstwo na wyjeździe Luton z Manchester City. Luton utrzymał się dzięki temu w I lidze, a do drugiej spadł po siedemnastu latach zasłużony klub Manchester City (obok Swansea i Brighton).

Dzięki stałej grze w Totalizatora Sportowego oblatany jestem w temacie i ten sezon bilansuje mi się dodatkowo dzięki pewnej trafionej trzynastce, która (niestety!) wielką nie była, ale zawsze... Teraz, w ostatniej kolejce, trafiłem tylko dziesiątkę, bo nie doceniłem West Ham i Newcastle i przeceniłem Manchester Utd., sądząc, że ta drużyna nie zrezygnuje z walki o II miejsce.

Telewizja uraczyła nas sprawozdaniami z mistrzostw Europy w boksie. Drużyna polska nie wraca z wielkimi sukcesami. Jeden medal srebrny i jeden brązowy brać Skrzeczów to nie powód do zachwytów. Za to drużyna radziecka nie zawiodła: w Warnie toczył się właściwie pojedynek ZSRR contra reszta Europy. Osiem złotych medali, wszystkie walki wygrane w finale to jest osiągnięcie na piątkę z plusem. Bułgarzy też pokazali klasę, ale występowali przed własną publicznością i może dzięki temu mieli nieco większe szczęście do sędziów. Normalna...

W ubiegłym tygodniu obok boksu fascynował nas również Wyścig Pokoju Warszawa—Berlin—Praga. Nasza młoda drużyna nie straciła wiele, ale zajęcie przez nią II miejsca będzie można uważać za sukces. Na razie jest na trzecim, a co będzie dalej — zobaczymy...

16 V. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej w Zamościu zaprosiło mnie w Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy na kilka spotkań. Zgodziłem się, bo już dawno nie byłem na Ziemi Zamojskiej, a ponadto nosiłem się z zamiarem przeprowadzenia rozmowy z

I sekretarzem KW PZPR, Władysławem Kowalem który od pół roku piastuje to stanowisko.

Wróciłem do Lublina z mieszzanymi uczuciami. A dlaczego — opowiem.

Piękny Rynek w Zamościu zrobił na mnie dość przygnębiające wrażenie. Kamieniczki na Starym Mieście, owszem, odnowiono, choć nie wiem, czy farba długo będzie zachwycała świeżością. Rynek w godzinach popołudniowych sprawia wrażenie kamiennej pustyni. Nie ma tu prawie wcale ludzi, czasem napotka się spacerowiczów z psami na smyczy, które też nie użyją, bo drzewek nie uświadczysz... Sklepy, jak sklepy, wystawy nie kuszą obfitością towarów, zresztą i tak nikt nie dba o ich odpowiednią ekspozycję. Zarząd Wojewódzkiej Ligi Kobiet Polskich nawet nie wie, że Liga zmieniła nazwę: tabliczka zawiera tylko dwa wyrazy — LIGA KOBIECI, ale to ostatecznie, drobiazg.

W słynnej w całej Polsce „Gierkówce”, to znaczy lokalu, w którym w czasie pamiętnych dożynek w 1980 roku miał zamieszkać ówczesny I sekretarz, mieścił się Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Oglądam to pomieszczenie, które sprawia przyzwolenie wrażenie, ale nie ponadto, i zastanawiam się, o co tu było tyle wrzawy? Gierek by przenocował i pojechał, a mieszkanie by pozostało. Mieszkanie, czy lokal biurowy — rzecz do podjęcia decyzji. Może dobrze, że ulokowano tu Wydział Kultury, chociaż akustyka jest wielka a wszyscy, jak to się mówi, siedzą na kupie, wzajemnie sobie przeskadzając. Inne warunki ma Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, znajdujące się niemal poza miastem w zwykłym baraku. Sądę, że prezydent miasta powinien cieplej spojrzeć na tę instytucję, która zaprasza na spotkania różnych działaczy, twórców i naukowców z całej Polski. Kiedy widzą oni, jak potraktowano TWP, mogą wyjechać z niezbyt korzystną opinią o włodarzach miasta.

Wracam jednak do Starego Miasta. Mieszkało tu niegdyś około pięciu tysięcy osób. Wiele spośród nich przekwaterowano do innych dzielnic, natomiast w śródmieściu w odnowionych pomieszczeniach ulokowano różnego rodzaju instytucje. Instytucje czynne są jednak do pewnych określonych godzin. Z chwilą ich zamknięcia zapada noc głucha, choć niebo jeszcze niebieskie.

Oglądałem stare rynki w RFN. Na rynku w Bonn od samego rana ustawia się stragany pod różnokolorowymi parasolami. Można tu kupić warzywa, owoce, wszystko, co jest potrzebne do diety człowieka. Po południu cały ten kram się zamyka, rynek dokładnie zamyka i wieczorem asfalt lśni czystością. Czasami ożywia się estrada, na której występują zespoły artystyczne. A kawiarni i piwiarni „wychodzą” na plac — przy stolikach siedzą ludzie, odpoczywając na świeżym powietrzu...

Moim zdaniem zabytek nie powinien być martwy. W kraju nie mamy, niestety, wielu takich miast jak Zamość. Żeby przyciągnąć turystów i jeszcze na nich po prostu zarobić nie wystarczy zatrudnić się o nowe elewacje. Poddaję ten temat pod dyskusję szanownej Rady Miejskiej!

Ostatnio województwo zamojskie przeżyło kontrolę przeprowadzoną przez Główną Inspekcję Terenową, zapadły odpowiednie decyzje, nawet per-

sonalne. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale słyszałem, że wojewoda o swej dymisji dowiedział się z telewizji (P). Raport GIT-u drukuje w odcinkach interesująco redagowany „Tygodnik Zamojski”. Dokument to dość ponury, świadczy o „tumiwizmie” wielu ludzi, którzy piastują bądź piastowali mniejsze czy większe stanowiska. „Wiele uchybień — czytamy w raporcie — stwierdzono także w przydzielonych mieszkańach. Ok. 40 proc. tych mieszkań w roku ubiegłym przydzielono osobom skierowanym przez organa administracji państwowej i zakłady pracy bez przekazania spółdzielniom odpowiednich środków finansowych. 80 proc. otrzymujących w tym trybie mieszkanie uzyskało członkostwo w 1982 r., a były również przypadki, że nawet po otrzymaniu przydziału. Wiele z tych osób posiadało dobre warunki mieszkaniowe w porównaniu z warunkami kandydatów i członków, oczekujących nieraz latami w spółdzielniach.”

Mowa, podkreślam, o roku 1982! Nigdy sądzą, aby lepiej było w latach ubiegłych!

Obawiam się tylko jednego: po tej kontroli trudno będzie teraz sięgnąć do Zamościa nawet najlepszego fachowca. Po prostu nie zapewni mu się mieszkania. A z wysoko kwalifikowanymi kadrami nie jest w mieście najlepiej. Dotychczas — bywało — za funkcjonariusz państwowy z Tomaszowa czy Hrubieszowa, przeniesiony służbowo (i awansowany) do Zamościa ciągnął za sobą swych kumpiów, z których rzadko który należał do orłów w swoim zawodzie. Ciągnął i zapewniał, jak się należy domyślać, mieszkanie. Teraz wypuścić orla można, ale jak mu odebrać mieszkanie?

Ale dość na ten temat.

Spacerując po Starym Mieście znalazłem jeszcze do Kolegiaty. Przed wejściem tablica pamiątkowa z napisem: „Zołnierzom Armii Krajowej Ziemi Zamojskiej poległym i pomordowanym o wolność Ojczyzny”. Tablicę uświetnia następujący fragment wiersza: „Poległym chwala, wolność żywym / niech płynie w niebo wolny śpiew / Wierzymy, że nasz Sprawiedliwy / odpłaci za przelaną krew”. Autorem jest... S. R. Dobrowolski. Ciekawe, czy wie on o tej tablicy?

Gdy mowa o kościołach... Po wejściu do Katedry w Lublinie można oglądać wyciętą z mapy Europy mapę Polski. Uczyniono to jednak tak, że tej Polski nam co nieco przybyło — „dokonał się” min. aneksyjnie nie tylko Rugii, ale i kawałka Szwecji. No, no...

Na tablicy informacyjnej ogłoszonej z którego wynika, że Wydział Duszpasterski Kurii Biskupiej wspólnie z Wydziałem Duszpasterskim Środowisk Twórczych organizują konkurs na twórców poetycki uświetniający podróże papieża do Polski. Dla zwycięzców nagrody, ale jakie — na razie nie wiadomo. Chętnie zapoznałbym się z plonem konkursu, bo również i „Kamejona” mogłaby któryś z nagrodzonych wierszy ewentualnie wydrukować.

M. A. Jaworski

KRONIKA

● 9 maja, Dzień Zwycięstwa: na lubelskim pl. Litewskim tysiące ludzi, świetnie prezentująca się kompania wojsk naszego garnizonu, kwiaty pod pomnikami upamiętniającymi walki polskich i radzieckich żołnierzy podczas II wojny światowej. Wcześniej rozpoczęły się w Lublinie Dni Kultury Warszawskiego Okręgu Wojskowego: były występy estradowe, kiermasze książek, Wydawnictwa MON, spotkania. W LDK otwarto wystawę malarstwa, rzeźby, metaloplastyki i tkanin żołnierszy WOW, dobrze świadcząca o poziomie pracy kultury w wojsku, które, dodajmy, jest jed-

nym z czołowych mecenasów sztuki w Polsce.

● Politechnika Lubelska obchodzi 30-lecie istnienia. Kiedyś, na początku istnienia uczelni, powstała głównie dzięki staraniom Stanisława Podkowy, jej bazę lokalową stanowiło kilka subinlokatorskich pokoi w szkole budowlanej. Dziś zespół obiektów PL przy ul. Nadbystrzyckiej należy do najbardziej okazałych w mieście. Kształcił się tam 3350 studentów, wykłada — 400 nauczycieli akademickich. Życzymy dalszego, mądrego rozwoju.

● Rolnictwo lubelskie: zapowiada się dobry urodzaj zbóż, pasz i innych roślin, ale spadło pogłowie bydła i trzody chlewnej. Pocięcha w tym, że ostatnio rolnicy zwiększyli hodowlę macior. Przemysł: na początku kwartału stwierdzono pewien spadek dynamiki produkcji.

● Aktorzy wszystkich scen zawodowych Lublina (oraz liczna grupa ar-

tystów białostockiego teatru dramatycznego) poparli inicjatywę prof. Henryka Szetyńskiego w sprawie powołania nowego ZASP. „Stawka jest duża: chodzi przecież o tę część kultury narodowej, którą tworzy polski teatr. Teatr, z którego zawsze byliśmy dumni i który był przedmiotem zazdrości wielu krajów i narodów” — czytamy m.in. w liście lublinian do profesora.

● Lubelski Sąd Wojewódzki zarejestrował 583 związki zawodowe. Powstają już ponadzakładowe struktury związkowe.

● Jan Poczeski, wybitny poeta, niegdyś żołnierz BCH, w pełni zasłużył na ten okaz (2,2 m mierzy sama postać) pomnik, który odsłonięty będzie 22 bm. w Markuszowie, a więc niedaleko rodzinnego Zabłocia pisańca. Autorem monumentu jest Jarosław Furgala, rzeźbiarz ludowy z woj. wrocławskiego, który wygrał ogólni-

polski konkurs na pomnik.

● Na zaproszenie studentów (ZSMP) przebywał w Lublinie Edward Osóbka-Morawski, przewodniczący PKWN, premier Rządu Tymczasowego (który także powstał w Lublinie) i Rządu Jedności Narodowej. Okazało się, że lata (ur. 1909) nie osłabiły energii i swady polemicznej pierwszego premiera Polski Ludowej.

● Na 10-lecie swego istnienia studentki Dyskusyjny Klub Filmowy „Bariera” w Lublinie pokazał m.in. sporo filmów z Marilyn Monroe i w rękach przegląd klasycznych westerów (24—26 bm.), na których wychowało się (?) niejedno pokolenie.

● Muzeum Wsi Lubelskiej coraz tłumniej odwiedzane. A pamiętacie państwo czasy, kiedy to z różnych, na ogół prywatnych i egoistycznych pobudek atakowano pięknie rozwijającą się nam (!) placówkę?!

ANDRZEJEWSKI

Za trzy miesiące, 19 sierpnia, miałby 70 lata. Urodził się Jerzy Andrzejewski w Warszawie. Tam ukończył znane gimnazjum im. Jana Zamoyskiego i studiował filologię polską na Uniwersytecie. W tym mieście objawił się także, mając 23 lata, jako pisarz opowiadaniem pt. „Kłamstwa”, które opublikował w dzienniku „ABC”. Nowelę tę znajdziemy w debiutanckim tomie „Drogi nieuniknione”, który ukazał się w 1936 roku. Pisarz zwrócił jednak na siebie uwagę powieścią pt. „Lad serca”, którą drukował w odcinkach w tygodniku „Prosto z mostu”, gdzie kierował pod koniec lat trzydziestych działem literackim, równocześnie pisując w latach 1935-37 recenzje teatralne w piśmie, w którym debiutował. „Lad serca” ukazał się jako książka w roku 1938, by w następnym uzyskać dwie nagrody naraz: Młodych Polskiej Akademii Literatury oraz czytelników „Wiadomości Literackich”, którą przyznano w wyniku plebiscytu. Pisarz sprostował ówczesnym modom, oczekiwaniom, a równocześnie pozostał daleki od parafianiszczyny. Podkreślało to wielu, także Jerzy Putrament w lwowskich „Sygnalach”. Andrzejewski był chrześcijański bardziej niż katolicki, a więc tę twórczość uznać mogło wielu. Stąd rozgłos i sukces pisarza.

W czasie okupacji odegrał znaczącą rolę w podziemnym życiu kulturalnym, a po wojnie po swojej stronie pragnęła mieć go każda ze stron kształtujących się ideologii. Większość twórców wiązała się stopniowo z lewicą. Ona nadawała kierunki rozwojowi kraju, zapewniała odbudowę, stała się przeciwieństwem tego, co — zdawało się — zostało bezpowrotnie przekreślone cezurą 1939, a następnie 1944 roku. Ulega tej fascynacji również Jerzy Andrzejewski, ba, z gorliwością neofity nie tylko uczestniczy w przemianach, ale i sam je kształtuje, staje się ich przewodniczącym, szczególnie poprzez swoją publicystykę.

Zbiór opowiadań pt. „Noc”, napisanych w czasie wojny, potwierdza w 1945 roku jego możliwości. Scenariusz do „Niewinnych czarodziejów” i sztuka (wspólnego autorstwa z Jerzym Zagórkim) „Święto Winkelrida” utrzymywały dobre imię pisarza. Druk odcinkowy pierwszej po „Ladzie serca” powieści pt. „Popiół i diament” w tygodniku „Odrodzenie” (r. 1947) oraz następnie nagroda literacka tego czasopisma czynią go znów głośnym, człowiekiem sukcesu, pisarzem osiagającym już dojrzałość artystyczną.

Autor chrześcijańskiego „Ladu serca” na kilka lat wiąże się z partią. Nie jest jej biernym członkiem, przeciwnie. Zagrożenie, jakie niesła dla świata tzw. zimna wojna, zaostrenie walki klasowej, porywające plany — trzyletni i sześcioletni — ruch obrońców pokoju, czujność intelektualistów Europy i świata wskazały mu taki właśnie wybór.

Swemu zaangażowaniu, po przeniesieniu się z Krakowa na Wybrzeże, daje świadectwo w artykułach wstępnych i felietonach w „Głosie Szczecińskim” oraz w czasopismach ogólnopolskich. Ukazują się książki publicystyczne: „Aby pokój zwyciężył” (1950), „O człowieku radzieckim” (1951 — wrażenia z podróży po Związku Radzieckim), „Partia i twórczość pisarza” (1952), „Ludzie i zdarzenia” (1953) oraz powieść satyryczna pt. „Wojna skuteczna czyli opis bitew i potyczek z Zadufkami” (1953).

Nie teraz jest czas na szczegółową ocenę tego okresu działalności i twórczości politycznej pisarza. Nie zajmowali się nim w ostatnim dwudziestolecu zbyt licznie i obszernie marksistowskiej krytycy i historycy literatury, choćby i z tego względu, że Jerzy Andrzejewski rozliczył się z „zaangażowanym” etapem dość ostro za pośrednictwem tak dobrych powieści, jak: „Ciemności kryją ziemię”, „Bramy raj” i „Idzie skacząc po górach”, gdzie niemal powiedział o złożoności losu artysty, także w uwarunkowaniach politycznych. Do tego rachunku dołączyłbym również wcześniejszy zbiór nowel pt. „Złoty lis”, niektóre akcenty w „Książce dla Marcina” i „Niby gaju”. I wreszcie druk obszernego fragmentu „Miazgi” w „Twórczości” (1967), będący spełnieniem wcześniejszych zapowiedzi nowej powieści, którą ukończy trzy lata później, a opublikuje — nie ze swojej winy — po całym następnym dziesięcioleciu.

O powieści tej napisano немало w ubiegłym roku. „Ciemności kryją ziemię”, „Bramy raj”, „Teraz na ciebie zagłada”, „Już prawie nic” oraz „Nikt” to, owszem, rozrachunek ze samym sobą, ale i czasem, który dopiero minął. Jest w nich jeszcze kamuflaż historyczny, pretekst, który pozwala mówić. W „Apelacji” i „Miazdze” Andrzejewski nie posługuje się takim środkiem, mówi bezpośrednio. Więcej, to mu nie wystarczy, więc utwór ten dopełnia dziennikiem, bieżącą notatką, bezpośrednim, nie artystycznym dopowiedzeniem.

I tu tkwi przyczyna, która zmusza czytelników i krytyków do samokonfrontacji, ale i konfrontacji tych zapisków z biografiami autora w różnych etapach jego zawilego życia. Oceny się komplikują...

Jerzy Andrzejewski był i pozostanie w naszej literaturze — i nie tylko w naszej, miał przecież, oprócz Lema, najwięcej przekładów — pisarzem wybitnym, niepowtarzalnym. Uznają to zgodnie jego sojusznicy i przeciwnicy polityczni — a tych nie brakuje, uczestnicy sporów w środowisku literackim ostatniego ćwierćwiecza.

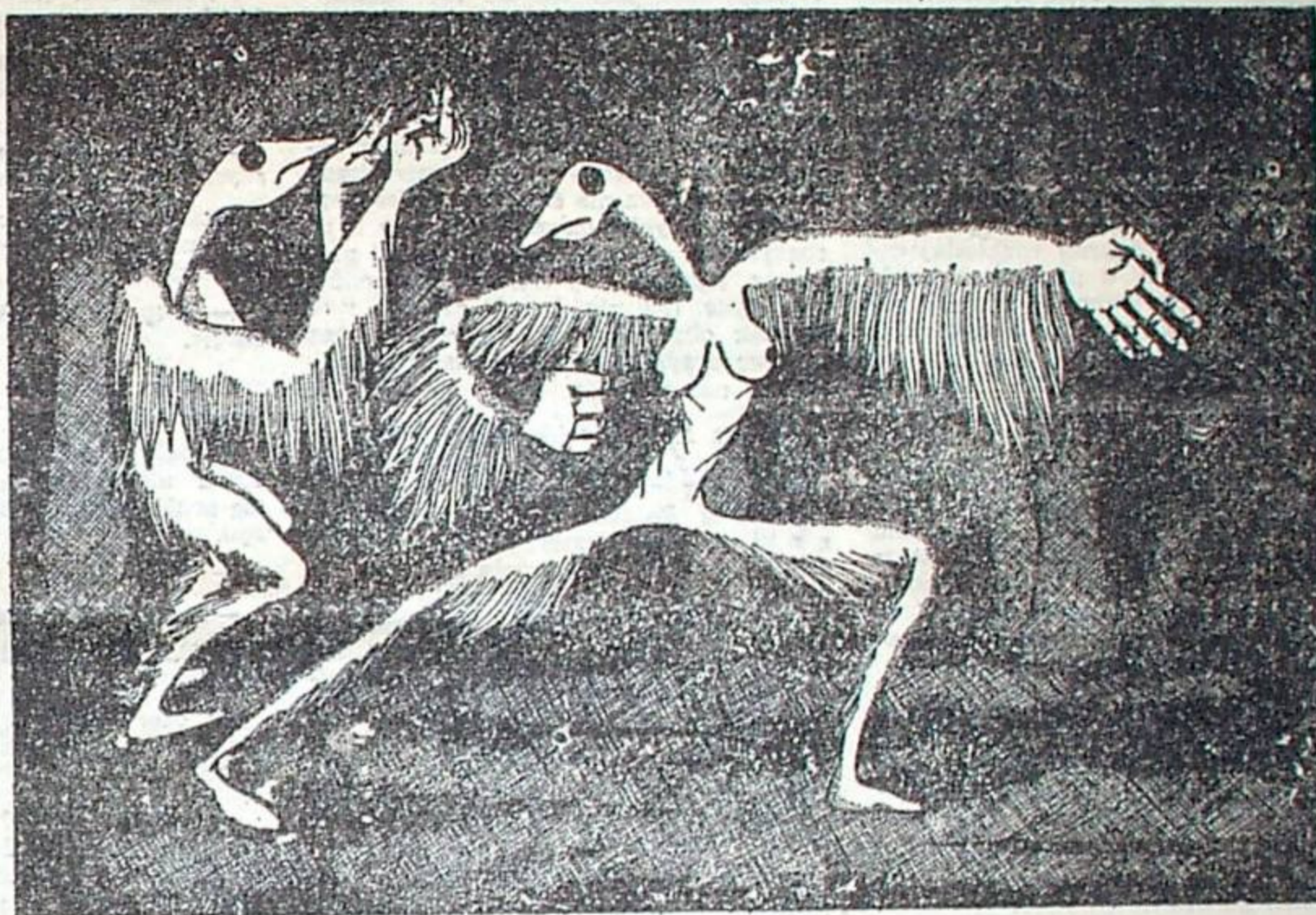
T.J.

— [...] Tu wszyscy są chorzy, jedni na cynizm, tępa głupotę albo po prostu na nieszczemność, a inni dali się zrobić, pozwolili, żeby im spreparowano pokraczne garby, żalosne grymasy, wykrzywione ryje, tu się w cztery oczy bełkocze albo skomli, drwi, szydzi, plotkuje i obmawia, zgnojone uciechy lokai i niewolników, śmichy-chichy kastratów, to jest nasza polska szczerłość, odwaga, fantazja i ukochanie swobody, ale za to sprawnie i bezwstydnie zaczyna się kłamać, gdy liczba oczu i uszu wzrasta, tu już nie ma żadnych konfliktów, żadnej zadry w brzuchu, kiedy się kłamie i co innego myśli na użytek własny, i co innego publicznie deklaruje. Konrad, to jest najokropniejsze, że tutaj pra-

ście, że to wcale nie historyczne fatum wpędza nas w głupie sytuacje, w jałowość, nudę, beznadziejność, w owe mętne pustkowia, gdzie diabeł mówi dobranoc i gdzie tyle wysiłków, zamierzeń, planów i nadziei przypomina górę, która urodziła mysz, lecz my sami nie potrafimy historii tworzyć i społeczeństwa rozumnie kształtować, bo wszystko — inteligencja, wrażliwość, fantazja, uzdolnienia — wszystko wydaje się w nas wspaniałe, żywe i ponad przeciętną miarę bujne, tylko że tego jest mało, rozpaczliwie, zawstydzająco mało, starcza tego na błysk, na zryw, stumetrówkę, olśniewający wyczyn, błyskotliwą improwizację, a potem klops, braknie paliwa, wulkan wygasają, źródła się kur-

choć już w głowach pusto i ciemno i dwa razy dwa jest pięć...

I zmęczony tym trochę nazbyt gwałtownym potokiem słów, niepokojąco chaotycznych jak na utalentowanego adepta filozofii, chyba poczuje się zmuszony do ponownego sięgnięcia po białą chusteczkę i przetarcia wilgotnego czoła, a nie jest też i wykluczone, że w tym właśnie momencie, gdy delikatną, o długich, kobiecych palcach dłoń podniesie do czoła, łagodząc tym ruchem nazbyt dla swych wrażliwych oczu ostry blask kryształowych żyrandoli — dostrzeże gdzieś w głębi wdzięczną sylwetkę Ariela, i wówczas zblednie, dłoń mu zadrzy, serce mocniej zabije, a Polska, jak stary, wyleniawy o-



rys. Marian Rybicki

wie wszyscy stają się coraz gorsi, wzrasta oświata, podnosi się poziom cywilizacyjny i upowszechnienie tak zwanych wartości kulturalnych, budujemy się, ludzie są chłonni, żywi, inteligentni i uwrażliwieni, otwarci na tysiąc zagadnień i z tym wszystkim stajemy się coraz gorsi. Adam powtarza przy każdej okazji, że w Polsce ludzie się kończą przedwcześnie i nie ma u nas znakomitych starców, naprawdę wciąż żywych i twórczych, że polska starość można tylko na piedestale ustawić i czcić w charakterze narodowego bóstwa, gdy już jest skamieniałe, wystygłe i nie ma obawy, aby się pewnego dnia nagle ocknęło, tak chyba rzeczywistość jest, ale sam nie wiem, czy to i w ogóle wszystko inne wynika z naszej pokręconej historii, czy też po prostu już tacy jesteśmy, urodzeni i ukształtowani na krótki oddech, efektowne, lecz szybko wygasające eksplozje, rozumiesz? Nie to, że Historia, ta przez duże H, gniecie nas, wysysa i wypacza, a my jesteśmy ofiarami i osiągnęlibyśmy niebotyczne szczyty, gdyby nie to albo tamto, sam nie wiem, ale wydaje mi się coraz czę-

ściej, ziemia jałowiej, najpiękniejsze drzewa próchnieją albo się je bemyślnie ściana, i tak pokolenie po pokoleniu zaczyna się w tym kraju brawurowo, bohatersko, fajerwerki, pioruny i błyskawice, wielkie zapowiedzi i nadzieje, a potem „wiek męski, wiek kłęski”, bezcenne energie już się wyczerpały, były diamenty, został popiół, „ostał ci się ino sznur”, tyle że potem trzeba żyć, natura nie udziela ludziom owej wspaniałomyślnej i litościwej łaskawości, dzięki której efemerydy pustynne spełniwszy swój przyspieszony byt roślinny umierają i giną, ludzie muszą żyć, zresztą chcą żyć bez względu na to, czy mają ku temu dostateczne racje i zasoby, wydaje mi się nawet, że tylko wewnętrzne bogactwo pozwala ludziom godzić się na śmierć albo śmiercią płacić, nędzarze kurczowo życia się trzymają, chcą się urządzić, stabilizować, podnosić stopę życiową, bawić się, ubierać, kochać, rozmnażać, kupować auta, lodówki, telewizory, adaptory, magnetofony i motocykle, wspinać się po śliskich szczeblach kariery, rozkazywać, reprezentować,

rzecz ciężko znad skalnego urwiska podrywający się do lotu, wyfrunie mu z głowy. Będąc jednak pewny, że i szwagier dostrzeże Marka Kurana, bowiem oczadzeni miłością nie tylko sami widzą świat w zarysach zniekształconych, lecz i bliźnich w magiczny krąg tego szaleństwa muszą wciągać, więc tak przejęty nagłym odnalezieniem Ariela, będzie przekonany, że musiało się ono stać udziałem również Konrada, zatem opanuje pierwszy odruch, aby pobiec ku wybranemu natychmiast, realizując w ten sposób starożytną potrzebę połączenia się z drugą swą połową, stanowiącą niegdyś wespół z nim, przed okrutnym odcięciem, jednolity żywioł, stłumi zatem to metafizyczne wzruszenie i wciąż z białą chusteczką przy czole i uwrażliwionymi oczyma związany z wiadomym dalszym planem powie:

— Wiesz, co powiedział Jan Kazimierz, kiedy po abdykacji dowiedział się o elekcji Michała Wiśniowieckiego? „Dlaczego wybrali tę beczkę piwa?” I rzeczywiście, wybrali najgorszego [...]

Fragment z „Miazgi”
Jerzego Andrzejewskiego

Konopielka

Z Podlasia

ma, po sąsiedztwie, od truskawek. Idzieł Cycki puszczono, dupsko wielkie jak miłosierdzie boże, na sobie ma przeczucie.

— Aż się zgrzeszyć chce — wtrącił mąż, zamykający za sobą akurat furtkę. — Pod słońce szła.

— On też widział — ciągnęła kobieta. — Patrz, co będzie, mówię, bo do koltuna szła. I pani wie, że obciąła? Dzieciak do tej pory ma zaropiałe oczy. Mądre to było? On też podleciał do niej — obejrzała się na męża — i mało nie przyłożył ze złości.

— Tam ze złości... — bagatelizował mąż. — Ale przyłożył się należało.

— Podobnie nago się opalała — ciągnęła żona. — On sam mówił, że chłopcy widzieli — pokazała głowę na męża.

— Ludzie więcy gadają, niż widzą — obojętnie zauważył mąż. — Ale przyjeżdżał do niej taki jeden, silny jak stary Meksula. Razem z kocykami chodzili. Wypastona lanocha z doktor-ki, że...

— Stary, a głupi — syknęła żona i ciągnęła dalej: — Chłopom we łbach przewracała. A jaki ruch robi, jak przyjmuje? Nie wyrzuciła Tkaczykowej z gabinetu za brudną koszulę? Nie obraziła?

Ubóstwo osady nadawało się do filmu o przechowywaniu tradycji ludowych. Co druga chałupa miała kolowrotek i starowinkę cicho snującą szare nici, wszędzie jedna łeba z gipsowym kotem na szafie, a brud rozarty na stole łokciami był jedynym ustepstwem na rzecz ucznia rozkładającego zeszyty. Kobiety w pasiastych spódnicach z zaciekawieniem odrywały się od biedy popiskującej pod zaganami z wodą. Ich powolność w imię nikielkiej przyszłości może i drażniła witalność młodej lekarki, a może było odwrot-nie.

W sieni drewnianego domku stara kobieta tarła ścierką zaplakaną oczy. W kuchni na łóżku leżał mężczyzna bez nogi. Pewnego dnia ubóstwo stało się gorsze od kalectwa. Wykrochmalona makatka „Dobra gospodyni domu wesółym czyni” rwiła nad garnkami, w których nie miało co kisać.

— Ledwie, że stoję — płakała kobieta w oberwanej spódnicy. — Chcę gazi-nę załatwić, lecz, lecz! A dzisiaj, jak żem wyszła, brzucha nie miałam. I głowa mnie boli, tak mnie ude-rzył.

— Niechający, ty... — odezwał się mąż.

— Nie chciał — zgodziła się kobieta — a boli... On nie wierzy, że choram. Ino ziemniaki jem.

— A ile będziesz labidzić?

— I mnie nie wolno jeszcze... Trza mu wynieść — przynieść, a ja nie mam usługi niakiej. Taką rentę małą mi dali, a jemu na nogę pięćset złotych więcej. Un jest teraz pan, a ja?

— Ubrania ci starczy.

— Bo mi dzieci nadawały. A za usługę nic mi się nie należy? Bez nogi jest, to muszę. I tak siedzę jak na pukucie — zakończyła ze ścierką przy oczach. — Nasza doktorka mówi, że trza pomocy społecznej.

Mężczyzna spojrzął ze swojego łóżka. — Bergera mam — powiedział krótko. — Ona jak ona — niechętnie przyjrzał się żonie. — I doktorka więcy nie poradzi. Chodziła po sąsiadach, żeby kto zajrzał, ale zajrzy? Każdy za swoim chodzi. Nikomu samo się nie zrobi.

— Raz, co mi doktorka w polu pomogła — westchnęła kobieta — to Wo-siowa zaraz gadała: skonom, wielka pani w burakach! Stamtąd jej snródzi i doktorka w samochód, i furk.

— Ale ona od ważniejszej roboty przecież. Potrafi stabilinę wygnać, to się nie liczy? — spytał mężczyzna w sposób nie znoszący sprzeciwu. — Zapalek od trzech dni nie ma w domu — skarcił niespodziewanie żonę, a ona znów ze ścierką przy oczach.

— Rozpalić nie mam jak — wróciła do placu.

Wobec doktorki szkoła dyszała pryncypialną bezwzględnością. Nauczycielki w fiszbinach procesu nauczania, do-

pięte pod azyją, przytulały do pierś dzienniki jak płowe głowy uczniów. Ci, możliwie najdalej od podręcznikowej, nieodpartej osobowości nauczycielskiej, prali się po łbach. Nauczycielki sznurowały usta, lecz raz po raz zapominały się w urzędowej powściągliwości.

— Chodzi o to, że ona z niczego nie sobie nie robi. Można powiedzieć, że to właśnie jest nihilizm. — Młoda dziewczyna z odgniecionymi śladami lokówek na włosach zrobiła zatroskana minę. — Szkoła ma tradycje, które pragnęliśmy wyeksponować podczas uroczystości nadania imienia naszej placówce. Powołaliśmy komitet obchodów i w ogóle. Dla niej był to płe na wodę, tak określiła. Ale wieczorem na zabawę przyszła. Całkiem inaczej ubra-na niż nasze panie.

— Ona ma w sobie coś takiego, że powiem po naszymu: gówna mi się gotują, jak na nią patrzę! — kobieta o urodzie Balzaka przełożyła torebkę z ręki do ręki. Przeciagle spojrziała na szkolne boisko, westchnęła i dodała, że trzeba mieć trochę godności, jak się jest lekarka. Latanie po papierosy w wianku z rumianków i dom pelen kudłatych chłopów nie licują z wykonywaniem prestiżowego zawodu. — Czy ja, jako nauczycielka, mogłabym pozwolić sobie, no powiedzmy, na chodzenie w szmacianych spódnicach, po-gniecionych? Zaraz by mi mąż spalił i skończona parada.

— Ona nie jest młodziutka — zauważyła nauczycielka historii. — To widać od razu, niestety. A czy ona nie chce złapać męża, jak każda inna?

W służbowym mieszkaniu najgościnniejszej nauczycielki gwizdał czaj-nik. Dokształcanie leżało w stertach starannie ułożonych książek. Gdy mi-nimum możliwości splecie się z maksimum aspiracji — po prostu prze-kręca się klucz w zamku i biegiem do autobusu. — A co? — ze smutkiem spoj-rzała dziewczyna. — Co tu można ro-bić? Stąd tylko uciekać. A Maria jest twarda. Zyje jak lubi, nie daje się przyciąć i porządnie leczy. Tego nikt jej nie zaruci. Pożarła się z dyrektorem PGR o traktowanie schizofrenika, w szkole o wszy, z posterunkowym o spalowanego pijaka. Nie mogą powie-dzieć, czy to taki temperament, czy małe odwety po rozwodzie. Postano-wiła pokochać wieś i lepszego klębo-wiska wybrać nie mogła. Bo to jest zapyziała osada z małomiasteczkowy-mi ambicjami, a w gruncie rzeczy — smutna wioska. Warunki też wspania-łe: po ostatnim pacjencie pani doktor leci do baru, a tam tylko bigos, wódka i lemoniada. Tu obok — kobieta chciała jej gotować, ale Marii starczy-ło kuchnię obejrzyć. Zanim u siebie sama pod kominem rozpali... A żyje z fasonem. Gości przyjmuje, to lampion-y na jabłonkach wiesza. Plot na czer-wono pomalowała, żeby z daleka by-ło widać, sama szyje cudaczne suk-nie, z esperantystami w Rodopy jeź-dzi. Kto tu co z tego zrozumie? Szczere mówią, przyglądają się jej, pa-trzę i patrzę i się dziwię, że z przy-jemnością żyje bez poczucia winy, choć dookoła myślą inaczej.

Osada rozlokowała się wzdłuż czte-rech traktów prowadzących do wiel-kiego świata; ostatnie zabudowania za-mykały krąg miejscowych możliwości chodzenia za interesami.

Skowronki wariowały w niebie bez ograniczeń.

— Podwieść może? — zapytał młody mężczyzna przejeżdżający wozem. — Do doktorki może? — pstryknął palcami w daszek czapki i zatrzymał konia. — Ciekawa osoba — zagadnął. — Niezależna, czego chcesz więcej? Z każdym jak ze swoim rozmawia.

— A chłopcy drżą do niej... — ode-rwała się z worków drobna kobieta. — Co nie?!

— Jak bratowa uważa — obojętnie skwitował mężczyzna.

Słońce świeciło między uszami ko-nia, prosto w oczy furmana. Kobieta uśmiechnęła się.

— I ty ślepy nas jesteś — powie-działa.

— Tak bratowa uważa? — zdziwił się mężczyzna.

— Chłop bez fetera, w gospodar-stwie mechanizacja, z każdą mógłby się tenis. Nawet z taką doktorką mógł-być.

— Bratowa tyś wie, co widzi.

— A widzę, pewnie, że widzę!

— To niech bratowa lepiej patrzy. Prz...

Do czerwonej furtki szła młoda ko-bieta z włosami skręconymi w coś na kształt koka.

— Ach, do mnie? — wołała. — No, jak ładnie. Dzień dobry, panie Danek! — pożegnała gospodarza i już pro-wadziła do wybielonej kuchni z zielonymi futrynami, pękami ziół, bałaganem przy maszynie do szycia. Na stole kot wyprostował przednie łapy i stulił je ogonem.

— Herbaty? A może jeść? Pewnie, że jeść — orzekła, wyciągając talerze. — Ale tu nie ma co pisać. Ucieklam na wieś, bo potrzebowałam się umar-twić. Tamto moje życie, aż z Pozna-nia jestem, było że ani spruć, ani ze-szyć. Tam mnie się nie podobało, tu ja się nie podobam.

Nalewała gorącej zupy, rozkładała łyżki, strzępnęła ze stołu kota.

— Niekiedy myślę, że nietoleraneja na inność jest samoobroną pewnych organizmów. Lepiej nie wiedzieć, nie widzieć i nie przedstawiać sobie życia na wycucie. Coś tam te poprzednie pokolenia wypraktykowały, nie?

— Zanim paru pradziadków zmarło z nudów, za życia. Ale to były wyjąt-ki.

— Ja też jestem wyjątkiem. Wariatka, mówią. Chociaż czasem wracam z domowych wizyt umordowana, jak po-czcziwy górnik przodowy. Nie, tylko spać i zapomnieć.

— I to jest to szczęście?

— Zaraz szczęście! Raczej flirt z ży-ciem. Ale niezła zupa mi wyszła! A miałam nie... Serio do gazety? Ja nic do tej wspaniałej miejscowości nie mam. Od okazji do okazji reaguję jak lekarz, który był człowiekiem. Czase-m szlag mnie trafia, że żyją tu jak w letargu. Fakt, osada bez przyszłoś-ci, ale co to ma do rzeczy? Wszędzie się żyje albo wegetuje. Bieda podlaska psa z kulawą nogą nie obchodzi, też fakt. Ale czy można nie zauważać rze-czywistości? W imię czego? No — od-stawiła talerz. — I tak o tej porze nie ma autobusu. Zresztą z Podlasia się nie wyjeżdża.

Anna Bocian

C

HODZIE zimą w wyszarzalej przez lato, sukiennej czapce-uszance z opuszczonymi kla-pami, co sprawiło, że jego po-ciągła, pocrana zmarszczkami twarz, o-smutnych, mądrych oczach, wydawała się jeszcze bardziej szczupła i drobna. Z nastaniem wiosny czapkę-uszankę zastępowała biała furazetka. Pan Ziółkowski nabierał animusza, prostował swoją wysoką, chudą sylwetkę, różnie podpierał się laską, a na widok zna-jomych podnosił do czoła dłoń w wy-smakowanym, żartobliwym salucie i wołał tubalnym głosem: „Moooję u-sz-sz-sz-sz-a-n-o-w-a-a-i-el”. W chłodne dni wkładał zielonkawy drelchowy pro-chowiec, który mocno ściśkał wąskimi skórzanym paskiem, pod nim miał brązową ekstraktową marynarkę. Mija-ły lata, a pan Ziółkowski ani na krok nie odstąpił od swojego stylu ubiera-nia ani od swego sposobu bycia. Tak jak nigdy nie widziałem go bez owej charakterystycznej skórzanego torebki zawieszanej na szyi, w której nosił do-kumenty, pieniądze, projekty opraco-wywanych przez siebie katalogów pla-stycznych, exhibits, których był namiętnym kolekcjonerem, listy — bo prowadził szeroką i ożywioną kores-pondencję z wieloma artystkami oraz kolegami — kolekcjonerami — wreszcie: manuskrypty swoich artykułów i recenzji.

Przez siedemdziesiąt lat ten dziwny, delikatny człowiek, o spojrzeniu filo-zofa i dłoniach pianisty-wirtuoza, był jedną z najbardziej charakterystycz-nych postaci lubelskiego środowiska artystycznego i jedną z najbardziej jego zagadkowych postaci. Artysta, który w młodym wieku „zimał pęd-zel”, bo doszedł do wniosku, że ma nie dość talentu; krytyk plastyczny, który okresami całkowicie zaprzesta-wał działalności; zamiłowany fotograf, który nigdy nie wystawiał swoich prac; wielbiel szuku ludowej; organizator i komisarz bardzo wielu wystaw pla-stycznych; zapamiętały zbieracz exhibitsów, plakatów i w ogóle grafiki... Kim naprawdę był?

Niesłychanie czynny, krążący wciąż między ludźmi, instytucjami i urzę-dami, potrafi zachować zawsze chłodny dystans nawet wobec osób, które znały go od dziesiątków lat. Nie słyzałem nigdy, żeby ktoś powiedział do niego familiarnie: „panie Wiktorze”, to było wręcz nie do pomyślenia. Zwracono się do niego albo per „pa-nie profesorze” (z uwagi na jego daw-ny zawód nauczyciela rysunków w lu-belskich szkołach i gimnazjach), bądź — „panie dyrektorze”, nawiązując do czteroletniego, tuż powojennego okre-su, kiedy pan Ziółkowski zajmował stanowisko dyrektora Okręgowego Muzeum Lubelskiego. Nawiasem mó-wię, było to jedno z nielicznych w jego długim życiu etatowych miejsc pracy. Wiktor Ziółkowski nie znosił jakichkolwiek ograniczeń, żył bardzo skromnie, ale za to w sposób wolny. Był społecznikiem, działaczem kultu-ralnym, był artystą, ale był także cy-ganem artystycznym i może bar-dziej mieściłby się w atmosferze Kra-kowa z przelomu stuleci, niż spetryfi-ce współczesnego Lublina... Właściwie nikt dobrze nie wiedział, jak żyje i z czego żyje, i wiele spraw wyjaśniło się dopiero po śmierci pana Ziółkow-skiego, kiedy zaczęto opracowywać po-zostałe po nim dokumenty i zbiory, te słyzy „makulatury” zalegającej jego mieszkanie, której o mało nie zmarnowano przez karygodną beznamiętność, indolencję, lenistwo, a w niektórych wypadkach — wręcz głupotę...

...

Pierwszy raz zobaczyłem go — na Krakowskim Przedmieściu latem 1956 roku. Stałem wraz z niezłym już dzisiaj Tytusem Dzieduszyckim koło targu kwiatowego „na murku”, przed kościołem ewangelickim, i w pewnym momencie Tytus pokazał mi idącego po drugiej stronie ulicy wysokiego, chudego, przygarbionego mężczyznę.

„Zobacz, to jest „Ziół”, strasznie mi-ły człowiek, był komisarzem naszej wystawy, a teraz jest opiekunem ko-la”. Pan Ziółkowski liczył sobie wów-czas sześćdziesiąt trzy lata, Tytus — dwadzieścia dwa, a ja miałem lat dwadzieścia. Tytus Dzieduszycki kończył właśnie biologię na UMCS. Interesował się życiem i zwyczajami bo-brów — włóczył się w czasie kolej-nych studenckich wakacji z plecakiem i aparatem fotograficznym po rozle-wiskach Biebrzy, szukając tereni bo-browych — i pisał na ten temat prace magisterską. Poślugało go jednak równie mocno malarstwo i właśnie

... kilka miesięcy temu, w lutym 1966 roku, jego prace znalazły się na Wystawie Plastyków Amatorów i Nikifora otwartej w siedzibie Biura Wystaw Artystycznych, w budynku Biblioteki im. H. Lopacińskiego przy ul. Narutowicza 4. Patronowały tej imprezie Wojewódzka Rada Związków Zawodowych oraz lubelski oddział Związku Polskich Artystów Plastyków, komisarzem wystawy (a może także jej inicjatorem?) był Wiktor Ziółkowski. Wstęp do katalogu napisał młody krytyk plastyczny Jerzy Ludwiński. Wśród 169 prac eksponowanych na wystawie były 24 obrazki Nikifora, którym już wtedy bardzo interesował się pan Ziółkowski. Dlaczego wówczas Nikifora—Matejkę, malarza-prymitywistę z Krynicy eksponowano razem z początkującymi amatorami z Lublina, Bóg raczy wiedzieć... W każdym razie ów przypadkowy alians miał tę dobrą stronę, że doprowadził wkrótce do zawiązania się Koła Młodych Plastyków, z którego następnie miała wyniknąć znana awangardowa grupa plastyczna „Zamek” W „Zamku” znalazł się m.in. także Tytus. Ale to stało się później. Na razie w lecie 1956 roku, było Koło Młodych Plastyków, nad którym opiekę z ramienia ZPAP objął pan Ziółkowski.

Moje drogi życiowe skrzyżowały się jednak z drogami pana Ziółkowskiego nie dzięki koneksjom towarzyskim ze środowiskiem młodych lubelskich plastyków, tylko z uwagi na osobę Nikifora. Kiedy napisałem do „Kamery” jeden i drugi reportaż o spotkaniach z Mistrzem z Krynicy, dostąpiłem jednego z najwyższych stopni w tajemniczenia: pan Ziółkowski zaprosił mnie do swojego mieszkania.

Mieszkał wraz z żoną na Starym Mieście, na najwyższej kondygnacji znajdującej się przy Rynku słynnej Kamienicy Klonowicza. Przechodziło się najpierw przez długą, wilgotną sien na parterze, na obudowany kilkupiętrowymi kruzgankami wewnętrzny dziedziniec. Z takiego właśnie kruzganku wchodziło się na trzecim piętrze do mieszkania państwa Ziółkowskich. Kamienica chyliła się ku ruinie, dach przeciekał, sufit groził zawaleniem. Cała pierwsza komnata wypełniona była lasem sosnowych stępli podpierających strop. Gospodarz kluczył między pachnącymi żywicą belkami, zwracając uwagę gościa na miejsca, w których można walnąć się w głowę, lub gdzie się można potknąć. Potem były drzwi i wchodziło się do drugiego pomieszczenia z oknami patrzącymi na ulicę Olejną. Stało tutaj kilka antyków, lekko poczerniałe ściany zawieszane były obrazami, centrum komnaty zajmowało rozłożyste łóżko, z którego od lat nie wstawała małżonka gospodarza. Ale przede wszystkim uwagę zwracało to, że całe wnętrze było wypełnione ogromną ilością kartonowych pękato wylądowanych teczek, stertami afiszów, górami rysunków, grafik, zwalami książek, rozsypującymi się pokładami listów, pocztówek, fotografii...

Zbiory pana Ziółkowskiego przytłaczały to mieszkanie, zalewały jego właścicieli, dezorganizowały im życie, zamieniały dom w jakieś monstrualne, surrealistyczne koczowisko. Nie wolno tutaj było niczego tknąć, nie nie mogło zmienić miejsca, na którym legło przed trzydziestu czy dwudziestu pięć laty. Wielokrotnie proponowano Wiktorowi Ziółkowskiemu mieszkanie zastępcze, w nowych blokach, mieszkanie z kaloryferami i bieżącą wodą. Nie tego. Pan Ziółkowski nie wyrażał zgody. Walczył jak lew o pozostanie w starych pieleszach, wśród swojej kolekcji, która miała następnie przypaść Lublinowi. Na trzecim piętrze Kamienicy Klonowicza stary człowiek czekał spokojnie na swój koniec, pragnąc powitać go wśród starych ścian, mebli i przedmiotów. Chociaż chwilami nACHODZIŁY GO MOMENTY PRZERAŻENIA. Prawie dokładnie cztery miesiące przed zgonem zanotował na kopercie, która mu się nawinęła pod rękę: „Uciekłem przed śmiercią do Nałęczowa, ale to się na nie nie zda, dogonił bestia, dogonił Piątek, 20.III.78”.

...

Wiktor Hermogenes Ziółkowski, syn Aleksandra i Stanisławy Rozalii ze Swiderskich, urodził się w Lublinie 19 kwietnia 1893 r., co stwierdza metryka chrztu wydana przez kancelarię kościoła parafialnego pod wezwaniem Sśw. Pawła przy ulicy Bernardyńskiej. Pochodził z rodziny od dawien dawna osiadłej na wsi. Jego dziadek, Piotr Wiktor Ziółkowski, żonaty z Salomeą z domu Kogucińska, zarzą-

dzał majątkiem w Siedliskach na Chelmszczyźnie. Natomiast rodzice pana Ziółkowskiego osiedli już w mieście. Jego ojciec był geometrą, wiodło mu się dobrze, miał dom przy ulicy Kollataja 6 w Lublinie, który także musiał dawać niezły dochód. Wiktor uczęszczał do roku 1912 do Szkoły Lubelskiej (dzisiaj mieści się w jej budynku Collegium Anatomicum Akademii Medycznej w Lublinie), w 1913 r. rozpoczął studia w Cesarsko-Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Studiów tych — jak się wydaje — nie dokończył. Może miał na to wpływ konflikt, w jaki popadł z jednym ze swych profesorów, Mehofferem, a pewnie także wybuch, w 1914 r., I wojny światowej. Wiktor

sekcji polityczno-prasowej oraz do pracy w redakcji żołnierskiego dziennika „Front”. Wówczas zaczął zbierać plakaty — początkowo o tematyce wojennej, politycznej — i to był właśnie początek wielkiej, nie wiem, na ile zachowanej do dzisiaj, kolekcji. Bardzo dużo pisał, lubił mieć oponentów, polemizować na łamach prasy. „Artykuły moje w czasopiśmie — stwierdził w jednej ze swoich wypowiedzi biograficznych — dotyczyły przeważnie estetyki i formy druku, formy plastycznej wyrobów przemysłu ludowego oraz organizacji pokazów plastycznych i samych pokazów”. Pisał artykuły, recenzje i wstępy do katalogów, ale jeszcze częściej i chyba z jeszcze większym upodobaniem pisał

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (7)

Pan Ziółkowski

Mirosław Derecki



Rys. Józef Tariowski

Ziółkowski był jednak poddany rosyjskim, a Kraków znajdował się w obrębie zaboru austriackiego.

W 1918 r. Wiktor Ziółkowski podjął pracę zarobkową, uczył rysunków w kilku szkołach lubelskich, później pracował nawet przejściowo jako nauczyciel w tutejszym Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim. Zaczął też pisywać do lubelskiej prasy, najczęściej pod pseudonimem Julian Kot. Kiedyś natknąłem się przypadkowo na jeden z takich pierwszych jego młodzieńczych artykułów, zamieszczony w wielkanocnym numerze „Ziemi Lubelskiej” z 1919 r.: „Przeto ośmielałem się poruszyć w „Ziemi” sprawę urzędzenia w Lublinie wystawy [...] poświęconej odtworzeniu architektury naszego miasta w plastyce. Mam na myśli specjalnie dwa cykle dzieł, a mianowicie prof. L. Wyczółkowskiego i Jana Gumowskiego „Stary Lublin”. Zestawienie tych prac miałoby rację bytu: wysnuwałoby szereg myśli plastycznych oraz zilustrowałoby wrażenia, które wywołuje piękno naszego grodu w duszach polskich artystów”.

Miał także pan Ziółkowski w swoim życiu epizod wojskowy: w sierpniu 1920 r. zaciągnął się jako szeregowiec do Lubelskiego Pułku Ochotniczego. Na front jednak nie poszedł, tylko trafił do „propagandy”. Przysięsiono go do

ny przed podziałem dokładną inwentaryzację zbiorów. Jak wiadomo, inwentaryzacja ta nigdy nie nastąpiła. Zbiory po bardzo ogólnym protokolarnym spisaniu jesienią 1980 r. musiały być jak najszybciej przewiezione do Muzeum i zabezpieczone przed pleśnią. Dopiero wtedy nastąpił podział.

Co jednak się działo w ciągu dwóch lat po śmierci Wiktora Ziółkowskiego? To znaczy: od 28 lipca 1978 r. do jesieni 1980? Niestety, zbiory owe gnily i pleśniały na opustoszałym poddaszu kamienicy Klonowicza, a potem — złożone w niewłaściwych warunkach przez użytkowników kamienicy. A potem jeszcze, w marcu 1981 r., pracownicy Pracowni Konserwacji Zabytków znaleźli resztkę spuszczoną po Wiktorze Ziółkowskim wyrzuconą... na śmietnik (!) na podwórzu Kamienicy Klonowicza...

Pisał na ten temat wiele na łamach „Kamery” moi redakcyjni koledzy, więc nie ma co przypominać w sposób drobiazgowy całej sprawy i okoliczności jej towarzyszących. Warto przecież przypomnieć ten jeden z najbardziej haniebnych incydentów w lubelskim życiu kulturalnym.

25 stycznia 1976 r., w jednym z tych momentów, kiedy w samotności rozlicza się człowiek sam przed sobą z życia, Wiktor Ziółkowski zanotował na niewielkiej karteczce: „Straciłem życie, bo nie postarałem się o wykształcenie, mogłem być coś zostawić, miałem zapal w różnych kierunkach, a tak nie po mnie nie zostanie, dosłownie nie, bo chyba tylko kilka artykułów... Zbiory, zbiory żadne, co lepsze za życia mego wyfrunęły”.

Nie jestem pewien, czy pan Ziółkowski zmarnował życie. Ale wiem, że o mały włos nie została zmarnowana spuścizna całego jego życia. Dobrze, że ją uratowano.

...

Po co żegnać się z człowiekiem w smutku i osamotnieniu? Wiktor Ziółkowski był przecież artystą obdarzonym ogromnym poczuciem humoru, a jego ciężę uwagi i powiedzonka powtarzane są do dzisiaj wśród znających.

Pod koniec życia zaczął w lecie przyjeżdżać na dłuższe okresy do Kazimierza. W swej białej furazerce, w brązowej sztruksowej marynarce, kręcił się różnie wśród artystycznej młodzieży handlującej na Rynku obrazami. Bywał też gościem w pracowniach plastycznych. Pewnego wieczora znalazł się wraz ze sporą grupą innych gości w atelier jednego z miejscowych malarzy, którego obrazy cieszyły się (i cieszą nadal) doskonałym popytem. Mistrz stawiał wino i prezentował kolejne płótna. Pan Ziółkowski przyglądał się ze wzrastającą coraz bardziej uwagą, wreszcie zapytał swym przeziętym, dobitnym głosem: „Aaaa, droooogi panie! Niech mi paaan powie, jak paaan to robi, jak pan to roooobii!!!” Malarz sapnął z zadowolenia, cokołwiek upozował się, i trochę do pytającego, a jeszcze bardziej do gości się zwracając, rozpoczął: „A, bo to tak było, panie profesorze. Stoję nad Wisłą, jest piękny zachód słońca. Patrzę: tak i tak. I nagle... już wiem co i jak! Biorę pędzel...” „Aaaale — ramy, R A M Y! Mnie obchodzą R A A A M Y” — przerwał mu w polowie zdania pan Ziółkowski. „Skąd pan bierze takie doskonałe ramy do obrazów? Czy pan je sam może, przy-
padkiem, wykonuje?” „No, tak — przynajmniej zupełnie zdetonowany Mistrz — tak, ja sam je wykonuję. Mam nawet taki podręczny warsztatik...”

„Kaaapitaalne, kaaapitaalne!!!” — wyrzucił z siebie z podziwem profesor.

I jeszcze w godzinie później, po wyjściu z pracowni, powtarzał w zachwycie do podtrzymujących go pod lokcie przy schodzeniu ze schodów młodych ludzi: „Kapitaalne! Kapitaalne! Toż to prawdziwy talent! Toż to mógłby być genialny stolarz!!! A, patrzcie państwo, ten człowiek nie tylko maluje i maluje. I marnuje się. Co za szkoda! Co za szkoda!!!”

Była to najbardziej dosadna i najbardziej zjadliwa recenzja plastyczna, jaką — nie tyle przeczytałem — ile usłyszałem w życiu.

Pani Wanda Szwarc dziękuje za udostępnienie manuskryptu jej artykułu, z którego zaczerpnąłem szereg cennych informacji.

M.D.

Andrzej Gerlowski

TRAGARZE ustawił duże paki w pokoju i zajął się nimi. Targował się z nimi, bowiem opłacił transport. Owszem, przyznali, opłacił, ale wnieśli pak do domu, a nie aż szóste piętro. Czy nie zauważył, że winda zepsuta? A oni czy nie zauważyli, że im pomógł nosić? To już jego sprawa. Zapłacił. Tragarze poszli. Pomyślał o Dorocie, która rozłościła się z powodu wydanych pieniędzy. Trudno. Nie mógł nie zapłacić. Dorota, od kiedy obowiązywał system kartkowy zarabiała niewiele. Kierowała sklepem spożywczym. Przedtem obroty były duże, bo był towar. Drugą pensję miała z prowizji. Teraz prowizja w ogóle się nie liczyła, śmiesznie miała suma. Zatem pieniądze mniej, chociaż ceny wzrosły. Kombinować nie chciała. Cieszył się z tego powodu. Kobieta, która nie kradnie, pewnie też się nie puszcza. Przyzwyczajony był do rozczarowań, więc może zniosłby, gdyby się puszczała ale, szczęśliwie, uniknęła dwuznacznego sytuacji w małżeństwie. Miał też pracę, którą lubił. Prowadził amatorskie zespoły muzyczne w kilku klubach. Pięć lat temu skończył średnią szkołę muzyczną, nie dostał się do konserwatorium, pozbył się marzeń o sławie kompozytora, dyrygenta. Coś tam dawniej komponował, ale patrzył na to krytycznie. Nie na tyle jednak, żeby nie zaprezentować swoich utworów kilku znajomym. Ich opinie potwierdziły jego sąd o sobie. W porządku. Wolał wiedzieć, niż się ludzi.

— Nie wierz im — powiedział wtedy do niego skrzypek amator, Walenty. — Zostań pianistą.

— W moim wieku? Przecież za stary.

— Masz słuch i dobre palce.

Pomimo to nie zgodził się z Walentym. Jeśli ktoś ma ponad dwadzieścia lat, to za późno na rozpoczynanie kariery wirtuoza.

Lubił muzykę.

— Człowiek powinien robić to, co przychodził mu najłatwiej — powiedział do ojca.

— Łatwo nie znaczy dobrze — odparł ojciec.

Skorygował ojcowski pogląd. Mianowicie uważał, iż to, co przychodzi nam łatwo, ma swoją wewnętrzną skalę trudności. I z nią borykać się należy. Wtedy to, co robimy, wypadnie dobrze. Ale jego kompozycje i gra były załedwie poprawne, a z pewnością dalekie od oryginalności. Jak tu żyć, będąc tego świadomym? Pozostało mu tylko pogodzić się z sytuacją i żyć z wyuczzonego zawodu. Przeszła komponować. Członkowie zespołów, które prowadził kiepsko zresztą opłacany, lubili go, ponieważ starał się być ich partnerem, a nie dyrygentem. Oprócz tego istniało coś ważniejszego: tworzyli wspólnotę poszukującą czegoś, co stanowiłoby oderwanie się od codziennej rutyny w często nie lubianych zawodach. W owej, nie dającej im żadnej wymiernej korzyści, grze na instrumentach, znajdowali echo swoich niespełnień. Przynosilo ulgę, pozwalało wytrzymać życie. Sami siebie oszukiwali w ten sposób. Czy jednak można mówić o oszustwie, jeśli ulga jest rzeczywista? On oczekiwał czegoś więcej, nie takiej ulgi. Pragnął zostawić coś trwałego, przy tym to coś miało mu dać radość tworzenia. Założył warsztat produkujący lustra. Pomógł mu ojciec, organizacyjnie i finansowo. Podszedł ojca bardzo sprytnie. Przypomniał sobie zdarzenie z lat chłopięcych i wyciągnął wnioski. Grywał wtedy z pasją w dwa ognie. Do gry zakładał białe spodnie. Równie dobrze mógł grać w ciemnobrązowych, jak jego brat Wladek. Białe spodnie brzydźły się i matka robiła mu z tego powodu awantury.

— Wladek gra w ciemnych — powiedziała. — Też graj w takich.

— Nie mogę.

— Bo co? Masz przecież ciemne.

— Mam, chodzi mi o to, żeby grać znakomicie. Tak, żeby nie ubrudzić białych spodniek. Muszę osiągnąć taki poziom gry.

Matka stwierdziła:

— Nie będę ich prać.

Ojciec nie wtrącał się do rozmowy, ale po wyjściu syna z pokoju, powiedział do matki:

— Nasz syn to marzyciel, czyli dureń.

— Nie masz marzeń?

— Mam, ale do spełnienia. Czy udało się komukolwiek nie ubrudzić białych spodniek?

— Masz rację — powiedziała matka. — Będzie miał ciężkie życie.

— Przede wszystkim z sobą będzie mu ciężko — odrzekł ojciec. — Tak to widzę.

Podszedł ojca, zapewnił, że chce zająć się nie mruźką a konkretem, pracownią luster. W istocie chodziło mu o inny konkret, niż o dochody ze sprzedaży luster. Postawił tezę: jedni widzą w lustrze, że są piękni, inni szukają w nim swojego piękna.

Trochę wcześniej poznał i poślubił Dorotę, mocno zbudowaną dziewczynę o ładnej, chociaż kalfowatej twarzy. Imponował jej tym, że dobrze śpiewa, pięknie gra na pianinie i skrzypcach, mówi niewiele. Dorota nie cierpiała gadatliwych ludzi, a szczególnie gadatliwych mężczyzn. Tacy najbardziej dokuczliwi w sklepie. Chwalila swojego męża przed przyjaciółkami.

— Mogę mu powierzyć każdą sumę, nie nie przepię.

Jej przyjaciółki z Łącznej, Turowoli, Ludwina, Puchaczowa łączyły wspólny kłopot — pociąg ich mężów do wódeczki. Urodziwi chłopcy z klas starszych, z którymi chodzili do jednej szkoły, po przeobrazeniu się w mężów i ojców wiedli monotonny żywot, poprzetykany spotkaniami towarzyskimi, lejącą się na nich wódką, nawet w okresie częściowej prohibicji wprowadzonej przez rząd. Pędzili bimber albo kupowali wódkę na metach.

Dorota nie obawiała się wskazać mu źródła dodatkowych dochodów. W tym czasie pomyślał z lustrami załedwi się wykluczał. Powiedziała:

— Graj na weselach, chrzcinach. Ciągłe ci proponują. Placę dobrze.

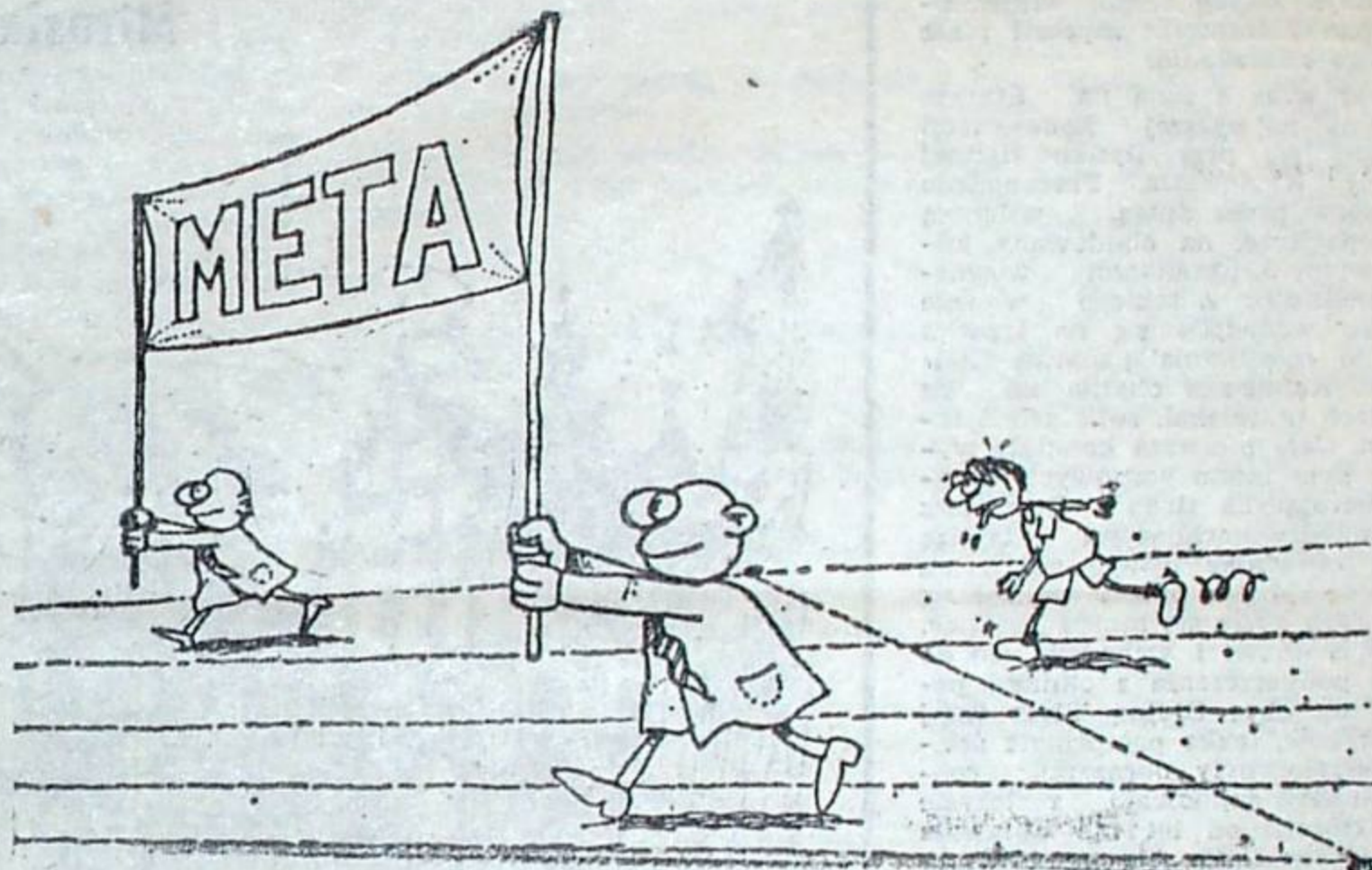
Jego ambicje utopione w pijanej zaćmie wesel... Coś podobnego! Odrzekł:

— Na życie nam starcza.

— Co to za życie, nie można odłożyć.

Wtajemniczył ją w pomysł z lustrami. Obydwój rozmawiali z ojcem. Ten uściślał go, oznajmił:

— Załatwione. — Po namyśle dodał: — Ciesz się także z tego powodu, że o własnym synu przestanę myśleć źle.



Rys. Sosepen Sedurski

Odparł:

— To fajnie, że tacie ulżyłem.

Nie łął, był rad, że ojciec wreszcie z niego zadowolony, zaś to, kto czego w lustrze szuka pozostało wyłącznie jego, Jarka, sprawą.

Ojciec miał pewną słabość. Kryształ. Sporo ich zgromadził. Chłubił się zwłaszcza kulistym wazonem o niemal półmetrowej średnicy. Do dzisiaj pamięta pełen namaszczenia głos ojca:

— Kryształ to szlachetne tworzywo, odporne na ciśnienie, wrażliwe na uderzenia, kruche.

Pstrykał palcem w wazon. Rozlegał się czysty dźwięk. Wazon zawsze stał w miejscu, gdzie nie groziło mu przypadkowe potrącenie.

Pracownia luster ruszyła. W ciągu dnia załatwiał interesy, po południu i w nocy pracował. Pisał o tych, którzy widzą w lustrze, że są piękni, ale tym, którzy szukają w nim swojego piękna poświęcał znacznie więcej czasu. Wszak widoczne mniej frapuje od tego, co do znalezienia. Człowiek w lustrze szuka siebie, podobnie szuka swojego miejsca w świecie. Pracownia przynosiła dochód. Wiedział, że okpił ojca. Już nawet w dzień śledził nad swoją rozprawą. Coraz mniej przebywał w pracowni. Prawie nie zauważył, że inter- spłajlował. Dowiedział się o tym od ojca. Dorota tego dnia płakała, a ojciec mówił, że matka ma szczęście, nie dożyła do takiego fatalnego finału. Zwrócił ojcu uwagę na wątpliwie szczęście, jakim jest dla każdego własna śmierć. Osobiście wolałby, żeby matka oglądała jego skrachowaną firmę, zwłaszcza że nie wiadomo, jak to jest z tym „życiem po życiu”. Dostał od ojca w twarz. Pomimo to rozmawiał z nim raz jeszcze: tego dnia, kiedy ojciec umierał.

— Wazon dla ciebie — powiedział ojciec.

— Niczego nie chcę.

Dorota skwapliwie sięgnęła po kryształ, wyniosła z pokoju. Być może obawiała się, że w wyniku wyskótki teść cofnie darowiznę, a być może — wazon zwyczajnie jej ciążył.

Wazon, ukochany kryształowy wazon ojca, zajmował centralne miejsce w dużym pokoju. Ceny kryształów rosły. Zaprowadziła go kiedyś do sklepu „Pewexu” i pokazała podobny wazon, lecz znacznie mniejszy. Cena wprowadziła go w osłupienie. Dorota sprawnie przeleżyła na złotówki cenę po-

daną w dolarach i oznajmił, że ich wazon wart jest ponad dwadzieścia tysięcy złotych. Zaproponował:

— Sprzedajmy.

— Jeszcze nie. Będzie wart więcej. Kryzys nie-prędko minie.

On jednak oszmyślał, jak by tu pozbyć się kłopotliwego przedmiotu. Zanadto mu ten wazon przypominał ojca i krach lustrzanego interesu, a szczególnie krach rozprawy o lustrach. Wydawnictwo odesłało mu rozprawę i dołączyło opinię, z której dowiedział się, że nie odkrywa w swojej pracy nowych sądów dla ludzkości, a jedynie dla siebie, i że to dobrze, bo każdy powinien to robić. Dorota powiedziała:

— O lustrze zrobionym przez bardzo złego czarownika pisał Andersen. Czytałeś?

— Nie.

— To czym ty zajmowałeś się, będąc dzieckiem?

— W każdym razie nie czytywałem bajek.

— Za to teraz je piszesz.

Ukarał Dorotę, rozstawił łóżko w kuchni. Tam spał. Przyszła do niego rano. Pozwolił się zaprosić na szeroki, dwuosobowy tapczan. Trudno, niech zabiega o jego względy, skoro taka dokuczliwa.

Mierzził go widok wazonu. Ojciec, nad nim Jarkiem, stał tu i wpajał mu całą swoją mądrość. Okropnie! Nie spotkało go żadne olśnienie, od kiedy kryształ znajduje się w domu. Spojrzył na zegarek. Dorota przyjdzie za jakieś dwie godziny. Trzeba znaleźć kogoś, kto zmontuje te cholerne szafy i szafki, a także wstrzelił gwoździe w ściany. Ten ktoś ma tu robotę na dwa dni. Zatelefonował. Telefon odebrał mężczyzna, wysłuchał jakie jest zamówienie i powiedział:

— Czternaście tysięcy.

— Dużo.

— Nikt panu taniej nie zrobi.

— Niech będzie.

Odłożył słuchawkę. Facet, który za dwa, po-

wiedzmy trzy dni pracy bierze czternaście tysięcy, musi mieć szmal. Polakomii się na wazon. Wczoraj Dorota oznajmiła:

— Załatwiłam ci granie w... — wymieniła nazwę lokalu.

— Nie chcę.

— Lokal dobry. Muzycy dobijają się, żeby tam grać. Znam kierownika i udało mi się załatwić. — Przytulili się do niego przymilnie. — Jarus, wzięłam pożyczkę na meble.

— Zast: owię się.

Teraz znalazł rozwiązanie. Prywaciarz zmontuje meble, wstrzeli gwoździe i dopłaci, powiedzmy dziesięć tysięcy, do wazonu. Wtedy szlag trafi granie w knajpie. Przynajmniej na jakiś czas odsunie tę groźbę. Poza tym Dorota jest taka zaradna.

Specjalista od montowania mebli przyjął ofertę. Owinał wazon kocem i zaniósł do samochodu. Załatwione! Jarek zatelefonował do Doroty i poinformował ją o transakcji.

— No wydaje się, że zrobiłeś dobry interes — usłyszał. Zagadnęła: — Nie tal ci pamiętka? Kochanie, spisałeś się dobrze.

— A widzisz... — Zadowolony odął usta, poprosił — Wstąp do biblioteki i przynieś mi baśnie Andersena.

— Co ty znówu knujesz?

Wyczuł autentyczny niepokój w głosie żony. Zależało mu na wywołaniu niepokój. Trzeba kobiety stopniowo przygotować do tego, że Jarus tajemnie się wywołaniem specjalnych efektów dźwiękowych.

— Pa, kochanie — powiedział.

cmoknął słuchawkę i odłożył. Podszedł do pianina. Zagrał kilka taktów marsza własnej kompozycji.

— Zwycięstwo — mrucał — zwycięstwo. Próbowal odtworzyć dźwięk, jaki wydaje uderzony kryształ. Nasilał uderzenia. Przy odpowiednim mocnym — kryształ powinien pęknąć. I wszystkie inne kryształy. W całym mieszcisku O ironio losu najpiękniejszy dźwięk, który kryształ wyda, będzie jego ostatnim dźwiękiem. O, teraz prawie też dźwięk. Trzeba będzie nad zagadnieniem popracować.

Wojciech Kawiński

CHWILA

Nie umiem powiedzieć
jak długo to trwało:
w samym środku nocy.
Przebudzone nagle serce
zaczęło mocno bić,
jakby chciało wyrwać się
z więzienia łąber i skóry.
Po chwili ucichło,
a ja
nadal żyłem.
Nie słyszałem żadnego
szepotu, głosu, krzyku
w oczekiwaniu
na niewiadome.
I czułem
że otacza mnie pusta
przestrzeń z wych ścian
i żywej martwoty ciała,
które umie tylko
uruchomić wyobraźnię.
Wypić tę chorobę
do dna.

BLASKI, CIENIE KSZTAŁTY

ani
to progi nocy
jasne źródła dni
kamienne źródła barbarzyństwa
to
po prostu
fragmenty
z rozbitych
luster współczesności
w nas
i obok nas
trwające

NIEKIEDY, CZĘSTO, ZAWSZE

zastuchany w pękające kamienie czasu
wiele wiesz o strukturze zdarzeń
choć niewiele rozumiesz

ale tak widocznie musi być:
stujęczny płomień biegnie
poprzez kulejący świat

a z białych chmur jak zza śnieżnych gór
wybłyskuje granatowe słońce
z krwawą opaską na czole

LATA

Płynęły coraz szybciej wody czasu,
dźwięki raniły nas jak cierniowe płótno.

A my
coraz spokojniejsi, coraz powolniejsi
nie wiedzieliśmy
czy coś się kończy,
czy coś się dopiero zaczyna...

POŁOWA MAJA (80)

Budny, zdeptany krzew, resztki zieleni.
Złote twoje włosy zlepione deszczem,
promień ciepły w spojrzeniu, lęk uwieźły
w sercu.

Majowy dreszcz
Oddycha w nas chorobą, przenika jak krew.

Niewinne drzewo wini nas za wszystko.

Jeszcze jest.

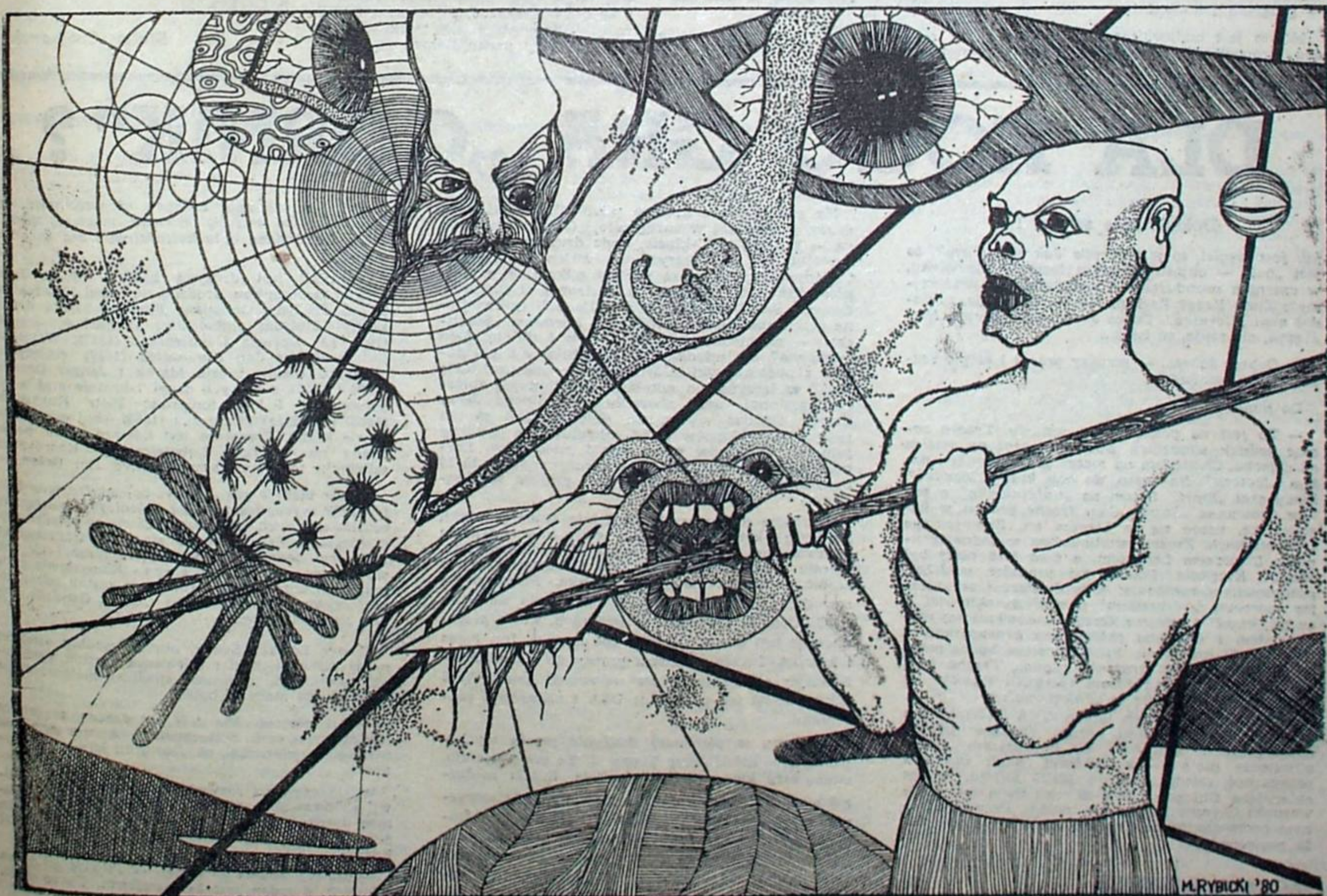
Paweł Gembal

MARCIN LUTER

Błąkał się już tego dnia
Od samego rana Koło południa
Na drodze uczynków stracił
Rozeznanie Całkowicie W tym
Rozległym świecie rozkołysanym
Od horyzontu do horyzontu
Smiał się Jego własny śmiech
Brzmiał mu w uszach jak dzwony
U Sw. Sebalda czy Sw. Wawrzyńca
Przy połączeniu rzek Pegnitz
I Rednitz W Norymberdze Błąkał się
Tego dnia od samego rana Myślał
Tak chyba czuł się Vasco de Balboa
Gdy po raz pierwszy zobaczył
Ocean Spokojny Dotąd nie znany
Nie zaznaczony na żadnej mapie
Bezkresny Zapierający oddech w pierś
Tego dnia od samego rana Myślał
Na drzwiach kościoła 97 jego też
Dokakiwało ludziom do oczu

STARA FOTOGRAFIA

Ta stara fotografia z napisem w rogu
Ventzel Photographie Aleja Róż 13 i data
Wypisana na biało 1897 Stara fotografis
Na której babcia Klementyna z czarnymi
Włosami ułożonymi w pukle stoi wsparta
O kolumnę dorycką Suknia zapięta pod szyję
Chusteczka w ręce Turniura W głębi
Wymalowany pejzaż Skala Lorelei na Renie
Na drugiej stronie Na zgiętym kartonie
Dagerotypu słowa które ilekroć czytam
Zabierają część mnie samego zostawiając
W zamian Sam tego nie wiem Coś z siebie
Te pajęczne słowa Na wieczną rzeczy Tak
Tak tak Na wieczną rzeczy pamiątkę



Na ustach całego świata

MÓWIA, że kiedyś — w czasie pierwszej wojny światowej — Przemysł był na „ustach całego świata”. Jego załoga wojskowa i losy zaprzętały najcięższe umysły polityków i dowódców, i o tym właśnie pisała dużo i często międzynarodowa prasa. Działo się to za przyczyną walk o istniejącą tu słynną twierdzę obronną, „najnowocześniejszą w świecie” (zbudowaną „za sprawą Austro-Węgier w latach 1853-1878” przez wybitnych inżynierów-fortyfikatorów: gen. art. Salis-Soglio, mjr. inż. Brunera i pplk. Wernera).

Historycy wojskowości utrzymują, że spośród dwustu kilku istniejących w tamtych czasach (1879-1914), twierdza przemyska zasłynęła jako jedna z najbardziej unowocześnień. Podobno pod względem wielkości zajmowała ona trzecie miejsce: po belgijskiej Antwerpii i Verdun we Francji.

Ale w czasach pokojowych miasto Przemysł nie interesowało zbytnio publicystów i dziennikarzy, wyjąwszy piszących tubylców, i było tak, jak w pamiętnej dziesięcioleciu 1945-55 historyczny ten gród był zapomnianą przez władze centralne głuchą prowincją. Wspominamy, że gęsto zabudowane uliczki „starówki”, przetykane co krok zabytkowymi domami, kryły w sobie niezapomniany urok i... rozspływały się w gruzy. Nie wybudowano wtedy ani jednego nowego domu (podczas gdy ówczesnie mniejszy o wiele Rzeszów rósł jak na przysiółkowych drożdżach), ani jednej nowej szkoły i nie remontowano wiekowych kamienic. Niektórzy stósiwi przemysłowcy twierdzili, że tak już będzie i być musi, bo „fundusze przeznaczone na rozwój miast, po kumotersku idą na wątpliwej wartości architektoniczne akcesoria w wojewódzkim mieście Rzeszowie!”.

Obecnie jest tu zupełnie inaczej. Nim jednak przejdziemy do szczegółów, trochę — dla potencjalnych turystów — geografii i historii.

Miasto jest malowniczo położone po obu stronach rzeki, na stokach zwa-

nych Zalesiem (od południowego wschodu) i Winną Górą (na północny zachód od śródmieścia). W wiekach XI-XIII Przemysł z okolicą przechodził wojennie z rąk do rąk. Władali nim na przemian władcy polscy, rusczy, węgierscy, a nawet tatarscy. Walki o gród na długo ustaly po przejęciu Przemysła przez rycerzy króla Kazimierza Wielkiego. Następcy monarchy dbali o tutejszy zamek i modernizowali go. W wieku XVI Przemysł został opasany potężnymi, jak na owe czasy, murami obronnymi z dziesięcioma basztami i trzema bramami. Wspominamy też, że w czasie szwedzkiego „potopu”, gdy cała niemal Rzeczpospolita była już w rękach najeźdźców z północy, warowne mury Przemysła okazały się dla wojsk generała Douglasa nie do zdobycia. Szwedzi odeszli znad brzegu Sanu — dzisiejszą ulicą Krasńskiego (dawna Ogrodowa), w stronę Buszkowic i dalej, „w widły Wisły i Sanu” koło Sandomierza, tracąc w Przemysłu w czasie szturmów kilkunastu swoich żołnierzy. W czasie wojny 1939 r. miasto uległo częściowemu tylko zniszczeniu. W roku 1941 zburzona jednak została spora dzielnica — żydowska, w ruinie obrócony także został kompleks zabytkowych zabudowań klasztoru sióstr Benedyktynki (z lat 1694-1771), dziś w części już odrestaurowany.

Troska o właściwe wzmocnienie obronności miasta, o czym wspomniano na wstępie, wzrosła poważnie z chwilą, gdy między carską Rosją a cesarsko-królewską Austrią zarysował się konflikt dramatyczny o wpływy na Bałkanach. Inaczej nie moglibyśmy dzisiaj zwiedzać zabytkowych już także ruin po okazałej „Festung-Przemysł”. Jej rozliczne forty i kazamaty po dziś dzień są atrakcją turystyczną.

W jednym z warszawskich tygodników dziennikarz angielski napisał o podupadłym po

dwóch wojnach światowych Przemysłu: „To jest piękne miasto, rozmieszczone tarasowo na dwóch wzgórzach przykarpaciej kotliny Sanu, trwa w letniej wegetacji głuchej prowincji. Już pierwsze wrażenie odpychające. Dworzec kolejowy odrapany i brudny, nie zachwyca oczu podróźnego artystycznie udanymi neofreskami w hallu, dzieło mistrza Stanisława Sirońskiego (1719-1802), mocno już zniszczone i od lat kilkadziesiąt nie-restaurowane. Ubogie, zaniedbane i brudne okropnie miasto kojarzy mi porównanie z wyrostkiem-parobczakiem, który jest pozabawiony od lat ojcowskiej opieki [...] Sredniowieczny rynek w formie prostokąta z okazała bryła fasady budynku poklasztornego (OO Bonifratrów), i obok pałacyk Miejskiej Rady, piśliczby może oko, gdyby nie odpadające tynki i podziurawione dachy i rynnny, a całość załozna na tle w pianie dalszym z zaniedbanymi również i pomalującymi się kamieniami mieszczanostkami, pamiętajacymi z pewnością czasy Jana III Sobieskiego oraz królów saskich... Od razu przyska turystyczny nastrój pogodny i bez-troski...”

To już, z ulgą powiem, przeszłość. Dzisiaj jest tutaj całkiem inaczej. Miasto powiększyło się terenowo niemal pięciokrotnie, przybyło kilka nowo zbudowanych dzielnic (Kmiecie, Osiedle Rycerskie, Osiedle Kazanów, Lipowica, Podwinie itd.), a obecne władze, mimo znanych trudności, dbają także o należyte zaopatrzenie ludności i starają się uchronić od zupełnego zniszczenia ocalale zabytki. Dobięgać kończą długie prace przy remoncie i odnowieniu rekonstrukcyjnym głównego dworca kolejowego, utrzymanego w zgrabnym architektonicznie stylu secesyjnym. Modernizuje się teren za rzeką, na tak zwanym Zasaniu. Zakonczono prace rekonstrukcyjne podcieni i zabytkowych kamieniczek w Ryńku. Kosztów wielu setek tysięcy, jak nie miliona, złotych odnowiono sześćdziesięcią Katedrę wraz z przyległą dzwonicą. Odrestaurowano (już wcześniej) także miejską wieżę zegarową, angielską dzwonicę przyceklewaną przy ulicy Władycze, pochodzącą z 1777 roku. Remontuje się troskliwie na wzgórzu przy parku Zamek starościń-

ski z XIV wieku, gdzie, w gotycko-renesansowym skrzydle z dwiema basztami ma tradycyjnie swoją siedzibę stały teatr. Odnowia się i konserwuje, otaczające południowo-wschodnią stronę śródmieścia, stare mury miejskie, których ocalałe fragmenty pochodzą ponoć jeszcze z czasów króla Stefana Batorego.

Mimo sensownych, na miarę czasu, działań gospodarczych władz miasta, wielu mieszkańców Przemysła nie może jednak znaleźć tu dla siebie stosownej pracy. Toteż planuje się możliwie szybką rozbudowę istniejących zakładów przemysłowych, a przede wszystkim uaktywnienie rzemiosła. Przemysł był zawsze miastem „ze smykałką” do interesów, usługi handlowe i rzemieślnicze miały tutaj dobrze ustaloną tradycję. Ożywienie więc podupadłego rzemiosła jest — kże jedną z realnych szans tego grodu.

Przemysł ma wszelkie, i to jeszcze jakie, warunki (czysta rzeka i bliskość lasów), aby stać się wreszcie dużym ośrodkiem turystycznym! I nad tym debatuja radni i różni fachowcy wraz z ojczymi miasta.

W zakresie zaś kultury jest sporo jeszcze tutaj do zrobienia. Zakiwizować by pilnie trzeba i należało prace miejscowego domu kultury, aby jego działalność nie ograniczała się tylko do wynajmu sal widowiskowych dla ekip przyjezdnych. Był tu przecież kiedyś, prezentujący się już świetnie, „Przemyski Zespół Pieśni i Tańca”. Był — ale teraz już go nie ma! Była tam również solidna „Kapela podwórkowa”, lecz teraz o niej cicho, bo pewnie już także czas się rozleciał... Natomiast na dobrej drodze do odryskania dawnej świetności artystycznej jest tutejszy teatr: Towarzystwo Dramatyczne „Fredrum”, o którym nie bez racji chyba kiedyś pisałem: „Po odejściu na emigrację p. Adama Wysoczkiet — reżysera i aktora z prawdziwego zdarzenia, który po Juliuszu Styffim przez wiele lat kierował teatrem, właściwie ostatecznie aktorów i prawdziwie zasłużył się obecnej scenie — nie ma teraz w „Fredrum” stalego i zdolnego reżysera, który potrafiłby należycie, to jest na pewnym poziomie artystycznym, pokierować zespołem...”

Otoż i tu już wiele się zmieniło, od- kład kierownictwo artystyczne poczęło w rękach (i intelekcie) uzdolnionej reżyserko i dość energicznej pani Janiny Górskiej, która, wierzę: stanie się, wraz ze swym zespołem aktorskim, godną następczynią dawnych ostate- nych wielkości sędziwej sceny przemyskiej — z pewnymi przerwaniami i pod różnymi też nazwami działającej w mieście jako stała od roku — bagatel — 1878. Nie wątpię, że udział w tym będzie też miała p. Genowefa Genojowa, aktorka teatru, wspomagająca p. Górską.

Stefan Czajkowski

DLA KOGO GRA „GÓRNIK”?

Dokończenie ze str. 1

jak jest węgiel, to jest górnik. Jak jest górnik, to jest „bal” — objaśnia z boku facet w sile wieku, w czarnym mundurze i z medalami („najważniejsza”: Złoty Krzyż Zasługi). — On tu, panie, zakładał nam „Górnika”. Tryka Jerzy, nasz prezes. Nie-Siązak, ale czuje, co i jak...

— Dobra, dobra... — mruczy prezes i klepie rozmówcę po ramieniu.

Do mnie:

— To jest na pewno część prawdy. Trzeba zacząć jednak wcześniej. Sportem zarazony jestem od dziecka. Chodziłem na mecze „Lublinianki”, potem „Motoru”. Na kosza, do hali kina „Koziołek”, kiedy grał „Start”. Potem na „Lubliniankę”, a potem znowu na „Start”. Sam trochę grałem w koszykówkę, ucząc się w Liceum im. Zamojskiego i na studiach. Zresztą studiowałem w jednej grupie z Bogdanem Lecykiem, a dwa lata niżej był Wojtek Krzykala Potem, już pracując w KBG, postanowilem spróbować jako działacz i organizator sportowy. „Wrzuciłem” pomysł dyrektorowi, a on go „kupił” z miejsca. Oczywiście, wcześniej rozmawiałem z młodymi chłopakami pracującymi u nas. Mówili, czemu nie. Sport, owszem, by się przysiadł, bo w Łęcznej strasznie nudno... Trzeba było coś robić, bo jedyną formą rozrywki stawała się często tylko woda pita w „Pojezierzu”.

Po niespełna czterech latach GKS „Górnika” ma już cztery sekcje: piłki nożnej, zapasów, brydża sportowego i szachów. W najbliższym czasie powstanie piąta — koszykówki. Klub zamierza przyciągnąć młodą drużynę MKS Lublin, wielce obiecującą. Chłopcy z 1968-69 roku mają doskonałe warunki fizyczne i sporo już umieją. Przy umiętym prowadzeniu, za trzy lata może być z nich duża pociecha.

Na razie jednak królują piłka. Obok pierwszej drużyny, grającej w okręgówce, „Górnika” ma drugą — grającą w C-klasie, dwie drużyny juniorów uczestniczące w rozgrywkach wojewódzkich. Naturalnym zapleczeniem są szkoły piłkarskie w Zespole Szkół Górniczych w Ostrowie Lubelskim, Zespole Szkół Rolniczych w Kijanach (prowadzone przez absolwenta AWF mgr. Mirosława Staszica) i — od niedawna — w ZSG w Lublinie. Stąd „wylawia” się młodzieli 15-17 letni. Na chłopaków z podstawówki „Górnika” skutecznie „zastawia sieci” w łęczyńskich szkołach: osiedlowej i zbiorczej gminnej (uczy abecadła piłkarskiego Jerzy Szych). Ogółem szkoleniem objętych jest w ten sposób 175 chłopców. Stąd rekrutują się drużyny juniorów, juniorów młodszyc i młodzików. Bezpośrednie zaplecze pierwszej drużyny liczy 15-20 zawodników, a kadra „firmowa”, grająca w okręgówce, dwudziestu.

Z wozów dostawczych sprzedają sione paluszki, landryny, kotlety i zieloną ciec. Na estradzie pojawia się Polska Orkiestra Włociańska im. Karola Namysłowskiego. Tryka zastanawia się, co zrobić z ludźmi na płycie boiska. Przyjeżdżają zawodnicy KŁZW. Chwilę potem zjawia się team PRG. Dowożą też piwo w beczkach, które przeznaczone jest dla obu drużyn (po meczu). Jest bigos i kompot. Prezes wpuszcza graczy do szatni. Konferansjer „Namysłowiaków” opowiada, jak w 1925 roku przyjął ich prezydent USA i obdarował prezentami.

— Mamy w pierwszej drużynie pięciu wychowanków — mówi Jerzy Tryka. — To nie jest mało, zważywszy kiedy powstała sekcja. Reszta zawodników to byli gracze drużyn z terenu Lubelszczyzny: z „Lublinianki”, „Motoru”, „Sygnatu” „Budowlanych”, no i tych młodszych, A-klasowych. Kilku ściągnęliśmy ze Śląska, ale też mieszkańców regionu, tyle że „wyjechanych” do roboty w kopalniach katowickich. W przypadku wszystkich

transferów nie było żadnych nieporozumień, czy antagonizmów między klubami macierzystymi, a nami. Zaliczane było kulturalnie i bez gangstersko.

„Górnika” jest drużyną bardzo młodą. Tylko sześciu zawodników urodziło się przed 1960 rokiem. Trzon drużyny stanowią: Ryszard Szych, dobrze znany kibicom lubelskim; Bogusław Szpejda (1959 r.); Dariusz Handwerker (1957); Waldemar Sularz (1955); Jan Konowalek (1957), grający od początku sekcji; bracia Marek i Janusz Decowie (1964 i 1965), z których drugi 7-krotnie grał w reprezentacji Polski juniorów; Piotr Knyszynski (1963) i Andrzej Stolarek (1963), obaj wychowankowie klubu. Trenerem jest Edward Socha, postać znana na boiskach Lubelszczyzny. Koordynator szkolenia to znany szkoleniowiec Jan Golan.

Prezes biegnie gdzieś przez boisko. Drużyny PRG i KŁZW wychodzą z szatni. Górnicy w kostiumach czarno-zielonych, a budowlanowie w seledynowo-niebieskich. Przygotowano stosowne transparenty. Najpierw jednak trzeba się rozgrzać i za tym właśnie popędził prezes Tryka. „Namysłowiaczy” w kolejnym antrakcie informują, iż zostali odznaczeni Krzyżem Komandorskim OOP z Gwiazdą. Po-tem siarzysty oberek.

Trener Edward Socha, ubrany według ostatniej mody piłkarskiej sfer (niebieska koszula, granatowa marynarka, jasnoszare spodnie), melancholijnie spogląda na murawę boiska.

— Zal patrzeć. Nie dość, że depczą, to jeszcze jeżdżą rowerami, samochodami. A my, żeby nie niszczyć nawierzchni, chodzimy na łąki nad Wieprzem...

Wyciągnięty na rozważania klubowe, trener mówi, że owszem, zapal w „Górniku” jest duży, pomoc dyrektora PRG — też. Ale wiele spraw trzeba jeszcze dograć organizacyjnie, jak się myśli o III lidze

— Choćby obiek — mówi. — Pilnuje go jeden aszowiec, a jeden jest kierownikiem. To za mało.

Z ludowej wyobraźni

FOLKLOR tradycyjny i współczesny nie od dziś cieszy się w Polsce dużym zainteresowaniem. Dzięki patronatowi edytorialnemu Wydawnictwa Lubelskiego, które na tym polu ma już utrwalone zasługi (por. choćby tomy „Wsi Tworzącej” czy liczne indywidualne tomiki poetów ludowych), badacz i sympatyk literatury ludowej otrzymał niedawno ciekawą pozycję, której sygnalizacja należy się czytelnikom „Kamena”. Myślę tu o antologii „Współczesne podania ludowe” w wyborze, opracowaniu i ze wstępem Michała Lesiowa, znanego w środowisku lubelskim badacza i popularyzatora twórczości ludowej, członka Sekcji Literatury Ludowej Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie.

Jak zaznacza autor we wstępie, „zebrane w tym tomie utwory zostały napisane z górą 15 lat temu w różnych regionach Polski. Należą do „współczesnych” podaniami ludowymi, ponieważ stosunkowo niedawno na podstawie opowieści słyszanych od ludu, na ogół od kogoś z rodziny, od sąsiadów czy przystojnych rozmówców. Współczesne znaczy tu więc współcześnie napisane czy napisane, choć motyw podania jest zapewne bardzo stary i tradycyjnie przekazywany przez całe pokolenie” (s. 8). Podania te stanowią wybór z materiałów nadesłanych na konkurs otwarty na baśń, legendę i podanie ludowe, zorganizowany przez ZG STL w 1982 r. i rozstrzygnięty w maju 1984 r.

Różnorodne próby tłumaczenia przez etymologię ludową nazw miejscowości, rzek, gór, jezior, pól, wzgórz, lasów niejednokrotnie pobudzały wyobraźnię ludzi. Często wiązano je z zamierzłą historią naszego państwa, czasami Piastów, najazdem szwedzkim, czy też postaciami legendowymi, a nierzadko były one wytworem wyłącznie fantazji mieszkańców danych miast czy wiosek. Ta na-

turalna potrzeba człowieka: szukanie źródeł, przyczyn ukształtowania się określonych nazw topograficznych, znalazła szerokie odzwierciedlenie w przytoczonych w książce podaniach. Należy zaznaczyć, że autor tej edycji wobec niejednoznacznej definicji terminu „podanie” postarał się o naukową jej dokumentację, co wpłynęło na jasny i jednolity dobór materiału.

Ponieważ przytoczone teksty pochodzą z różnych regionów Polski (w tym Lubelszczyzna reprezentowana jest dosyć licznie), otrzymaliśmy ciekawą mozaikę, w której czytelnik odnajdzie z pewnością interesujące go podania wyjaśniające nazwy miast, jak np. Cieszyzna, Hrubieszów, Rzeszów, Zakopanego; wsi, np. Pożoga, Molodutyna; inne podania toponomastyczne wskazujące na nazwy jezior, np. Morskiego Oka; rzek, np. Uherki; gór, np. Tatry, czy też liczne podania związane z tajemniczą postacią odwiedzającą nocą stare zamczyska, a zwaną często Białą Panią (np. podanie „Biała Pani na zamku lubawskim” czy „Biała Pani na ruinach zamku w Krupem”). Przy czym, jak wskazuje autor wstępu, „w większości wypadków etymologicznie są niezgodne z naukowymi wyjaśnieniami, a więc na ogół fantastyczno-poetyckie — mają przede wszystkim wartość folklorystyczną”. Fakt ten nie unieważnia jednak ich roli w historii naszej kultury. Bogactwo znaczeń, jakie niesie, przejawia się bowiem na wielu płaszczyznach. Jedną z nich jest sfera zakodowanej w podaniach szeroko pojmowanej, orastającej wiedzy ludu, przekazywanej z pokolenia w pokolenie. Nierzadko kanwą, wokół której osnute zostało opowiadanie, są różno-

rodne wierzenia, np. wiara w moc przekleństwa (w urzekającej historii o skarbach Ziemi Chełmskiej) czy też w „Baśni o Górze Zamkowej”, w której przekleństwo skrzywdzonej matki działało swą niezwykłą mocą przez wieki, doprowadzając do całkowitej ruiny Pana dręczącego swych poddanych nadmierną pracą, okrucieństwem, chciwością, brakiem ludzkich odruchów. Motyw przekleństwa za krzywdę stał się też podstawą innego podania, przestrzegającego przed naiwną wiarą w ludzką dobroć i uczciwość („O przekleństwie za krzywdę”). Podobnie osiłą organizującą fabułę podania staje się tzw. prawo wyrównujące sprawiedliwości, wedle którego każda krzywda musi być ukarana, przy czym kara, zgodnie z ludowymi zasadami, zawsze jest niewspółmierna do popełnionej przewinienia — stąd np. zapadł się pod ziemię zamek w Zemborzycach, gdyż złąjąc tam goście przepędzili w burliwą noc kwestującego zakonnik z któregoś z podkrakowskich klasztorów („Legenda o zamczysku w Zemborzycach”). Pojawia się też motyw inny, nieoczywisty, prozie ludowej — dydaktyzm, np. podkreślający rangę takich podstawowych wartości, jak „Nauka, Praca i Zgoda” („Skarby Ziemi Chełmskiej”).

Mocna potrzeba przynosi i silnych doznań poprzez kontakt z istotami niezłotymi, będącą naturalną potrzebą człowieka, znalazła odzwierciedlenie w podaniach związanych z tajemniczą postacią Białej Pani. Jej pojawienie się wróżyło niekiedy śmierć właścicielowi czy komuś z jego rodziny. W omawianym zbiorze podania takie zapisał m.in. T. Ruczyński, P. Rudnicki, F. Piasecki.

Przywołane w antologii teksty przekazane są najczęściej w języku literackim, a więc dostępnym dla każdego czytelnika, choć w niektórych przypadkach autorzy posłużyli się gwara z własnych okolic. I tu użycie dla autora wyboru, który dostarczył też garść informacji z zakresu specyfiki tych gwar, że wskazałem na istotne ich cechy. Ponadto, w prawidłowym odczytaniu podań pomocą służy dołączony do książki słownik wyrazów gwiarowych, natomiast orientację czytelników o autorach poszczególnych tekstów ułatwiają krótkie noty biograficzne — może w niektórych przypadkach nieco zbyt skrócone.

A zatem otrzymaliśmy pozycję interesującą poznawczo, starannie opracowaną edytorsko i graficznie — wierzymy, że nie ostatnią z tego zakresu.

Anna Brzozowska-Krajka

Współczesne podania ludowe. Wybór, wstęp i opracowanie Michał Lesiów. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1982.

Dziennikarze i komputery

SŁOWACKA Biblioteka Techniczna zajmuje się przygotowywaniem projektu zautomatyzowanego systemu informacji dziennikarskiej, który pozwoli racjonalizować jednorazowo opracowywanie ważnych informacji, ich umieszczenie w pamięci komputera i udostępnianie wszystkim użytkownikom za pomocą sieci terminali. Wybudowany zostanie ośrodek informacji dziennikarskiej, który wyposażony będzie w środki techniki obliczeniowej; redakcje i inni użytkownicy komunikować się będą z ośrodkiem za pośrednictwem terminali (koneserów). Potrzebne informacje mają codziennie dostarczać do centralnego komputera — także za pośrednictwem terminali — wybrane większe redakcje (z zakresu swej specjalizacji).

Odpowiedź na pytanie odbiorcy informacji pojawia się w ciągu kilku minut na monitorze ekranowym terminalu; drukarka szybko podłączonego do kodownika umożliwia użytkownikowi otrzymanie odpowiedzi także w postaci wydruku. Informacje pojawiają się na monitorze może stanowić również wykaz artykułów, komunikatów i innych dokumentów zawierających odpowiedź. W kartotece mikrofilmów, których duplikaty ośrodek informacji dziennikarskiej dostarcza, będzie na bieżąco wszystkim użytkownikom, redaktor może później według numeru kodu odpowiednio kompletować teksty odnależć i w powiększeniu przeczytać na ekranie.

Przyjęto zasadę, że do pamięci komputera nie będzie się wprowadzać informacji zawartych w łatwiej dostępnych publikacjach. W przypadkach, gdy ani dostępna literatura, ani zautomatyzowany system nie będą w stanie udzielić odpowiedzi, ośrodek wskaże użytkownikowi potrzebne źródło informacji.

Zautomatyzowany system informacji dziennikarskiej, który przyniesie znaczną oszczędność czasu, przestrzeni roboczej i czynnik ludzkiego, ma być uruchomiony pod koniec 1985 roku.

AP „Orbis”

Kto chce, wchodzi przez siatkę i gra. Sama nawierzchnia też kiepska, nierówna. To wszystko trzeba zmienić. Jak ja widzę szanse trzecioligowe? Mamy dziś drużynę na utrzymanie się w III lidze, ale tylko na tyle... Wzmocnienie? Może i tak, ale najważniejsze są sprawy organizacyjne...

Orkiestra Włociańska kończy i żegna się, a spiker apeluje o opuszczenie boiska, bo za chwilę... wielki mecz, a tu ludzi kupa, papierów i innych śmieci — kupa. Itd. Prezes Tryka ustawia drużynę PRG. Kibice już zaniesli transparent z napisem: NO I WRESZCIE ŚCIANIE MACIE, LECZ Z PRG NIE WYGRACIE! (pod adresem KLZW oczywiście) i wbili patyki, na których jest umocowany, tuż przy linii boiska.

Zaczyna się mecz. Tylko pół godziny „poślizgu”. Jest czas na dalszą rozmowę z prezesem.

— Inne sekcje zakładaliśmy też logicznie. Szachy i brydża, bo wielu ludzi nudzi się w hotelach. No i chwyciło! Brydżysty są na trzecim miejscu w lidze międzywojewódzkiej. Do II ligi raczej nie wejdem w tym roku, ale za rok... Turniej Barbórkowej „Górnika” Łęczna wszedł na stałe do kalendarza imprez ogólnopolskich i jest silnie obsadzany (w ub. roku — 60 par). Zaczynają się liczyć zapalnicy w stylu wolnym.

Prezes mówi o innych sekcjach, a mnie interesuje wciąż piłka.

— Mówią w Lublinie, że demoralizujecie środowisko piłkarskie płacąc zawodnikom straszne pieniądze?

— Kto tak mówi, nie rozumie współczesnego sportu, albo szuka sensacji. Kryteria finansowe w GKS „Górnik” są bardzo przejrzyste. Zawodnicy zatrudnieni są na stanowiskach dotowych. Każdy jest w jakiejś brzygadzie. Płacę otrzymują w granicach 15-16 tysięcy złotych. Pracują, za zgodą swoich kolegów, w niepełnym wymiarze godzinowym. Ale pod warunkiem, że zwykle jest to piątek i poniedziałek. Po całej zmianie. Pozostałe dni mają wolne i odbywają w tym czasie dziewięć treningów i oczywiście grają mecz. Wyniki są premiowane tak, jak pracą na dole w wolne soboty. Za zdobycie w miesiącu (cztery mecze) 5 punktów zawodnikom płaci się, tak jak za jedną sobotę. Za 6 punktów — jak za dwie, za siedem — jak za trzy, no i za komplet punktów — komplet sobót. Ile to jest? Średnio za sobotą wychodzi 1,5 tysiąca złotych. Przy komplecie punktów daje to dodatkowo

wo 6 tysięcy. Czyli wszystko wygrując, piłkarze zarabiają po około 22 tysiące miesięcznie. Czy jest to dużo? W porównaniu z innymi drużynami naszej ligi okręgowej — na pewno tak. Jest to także sporo, jak na III ligę, ale już mniej, niż zarabiają zawodnicy wyższych lig. Uważam, że za dobrą pracę, jaką jest gra, należy dobrze wynagradzać. Bawienie się dziś w kocietowanie „amatorskością” jest śmieszne. Zawodnik „Górnika” wie dobrze, że wypadnie-cie z pierwszej drużyny oznacza przejście automatycznie do pracy na dole w pełnym wymiarze dotow-kowym. Trening — po robocie. System nasz jest zdrowszy niż w innych klubach. Jest bowiem jasny i czytelny. Żeby już nie było wątpliwości powiem, iż system ten jest akceptowany przez załogę PRG liczącą 1720 ludzi. Ponad 400 osób to członkowie wspierający, płacący miesięcznie 100-250 złotych, w zamian za co mogą tylko wchodzić bezpłatnie na mecze. A jak piłkarze pracują, zobaczysz za dwie godziny, kiedy będą grać z „Opolanką” — kończy Jerzy Tryka.

A na boisku pracownicy KLZW i PRG walcą ostro z nieposłuszną piłką i własną tuszą. Dwóch komentatorów relacjonuje ich poczynania.

— Przy piłce dyrektor ekonomiczny... Idzie na przeciwnika... Niestety... Łatwiej jednak wpuścić w kanał własną firmę, niż przeciwnika...

Ostatecznie KLZW wygrywa 1:0, strzelając gola, bezpośrednio z kornera, przy walnym udziale... wiatru. Rewanż za rok. Drużyny udają się do kontenera na piwo, a za nimi kibice. Ktoś „opieprza” prezesa Trykę, że nie „oblatwił” wyniku z sędzią.

Jest piętnasta, kiedy na boisko wybiega GKS „Górnik” Łęczna witany przez orkiestrę górniczą i półtora tysiąca kibiców. Część z nich już nie „kontaktuje”, zaprawiona piwem i tanim (135 złotych + 8 zł butelka) „Złocieniem”, bogatym w CO₂. Robi swoje...

Drużyna gra dziś bez Szejdy i Kędzińskiego. Pierwszy jest środkowym napastnikiem, drugi — wysuniętym stoperem. Do przerwy „Opolanka” jakoś się trzyma, tracąc jednego gola. W drugiej połowie nie wytrzyma naporu znakomicie wybieganych „górników” i straci cztery bramki. Gdyby mecz trwał jeszcze dziesięć minut, mogłoby się zakończyć dwucyfrowką.

Prezes Tryka dziękuje zawodnikom i trenerowi. Są zadowoleni, odprężeni. Poklepują weterana

Ryszarda Szycha, który nie tylko dobrze kierował grą, ale nawet strzelił gola. Kibice śpiewają „Sto lat” oraz zaimprowizowany kuplet („Głory, glory aletuja. Na „górnika” nie ma ch...a”). Sędzia spotkania, „gwizdzący” na stałe II ligę, Marian Rapa schodzi z boiska i idzie z linowymi do kontenera sędziowskiego. Za nim leży zamroczony już alkoholem kibic.

— Niezły mecz. Kibice też grzeczni — mówi sędzia Rapa.

— Faktycznie — dodaje liniowy, wskazując na leżące go.

Jerzy Tryka narzeka, że mecz był organizacyjnie „nie za bardzo”, bo nie sprzedawano przy świetle 1-majowym biletów (a 35 zł). Normalnie byłoby to nie do pomyślenia. Nie protestuje jednak, abym i o tym napisał.

— Rodzi się sport — mówi. — Jest dla kogo grać. W najbliższym czasie planujemy powołanie Rady Patronackiej GKS „Górnika” Łęczna, do której chcemy zaprosić wszystkich dyrektorów z terenu miasta. To będzie klub całego miasta!

Na podjeździe do bramy stadionu gąśnie Tryce „myluch”, kibice popychają go i krzyczą: — Bravo Prezes! Bravo Tryka! A prezes ma problem, żeby ten cały żywioł sportowy skierować w odpowiednie „koryto”. Już teraz po 100-200 kibiców jedzie z piłkarzami po całym województwie na mecze. Zawodnicy z wielu klubów chcą się przenieść. Zgłaszają się trenerzy. Obłąd.

— Sukces? Może i sukces. Po prostu kolejni dyrektorzy PRG mieli serce do sportu. Po inżynierze Mieszowiczu, dyrektor Henryk Kato (były piłkarz „Resovii”) popierał „Górnika”, jak mógł. Teraz dyrektor Kazimierz Józefczak dzielnie kontynuuje ten mecenat. Z takimi ludźmi można coś zrobić — kończy Tryka.

Nie wiadomo, czy się podlizuje, czy mówi poważnie.

Za dwa tygodnie kolejny mecz. W Łęcznej wierzą, że już wtedy będzie na sto procent pewne, iż „Górnik” wygrał ligę. Jakby kto protestował, powątpiewał, czy żartował, może dostać w dziób.

Waldemar Piasecki

Lekcja MDM

Z JOZEFEM Sigalinem zetknąłem się po raz pierwszy w 1954 roku, odwiedzając go w warszawskim pałacu „Pod Blachą” dla załatwienia pewnej sprawy osobistej. Siedział tam, młody chłopak, z duszą na ramieniu, jako że Sigalin był wtedy naczelnym architektem stolicy, osobistością, a jedyną „przepustką” do niego, jaką miałem, stanowił fakt przedwojennej jeszcze znajomości moich rodziców z tym człowiekiem. Przyjęty zostałem przecież bez ceregieli, z życzliwością i coś tam chyba załatwiłem dla siebie, skoro do dziś śni mi się po nocach pomaturalne studium oceanografii, do którego trafiłem po tej wizycie, na krótko zresztą, na szczęście jednak — dla naszej floty rybackiej, handlowej, a może nawet wojennej.

Tą znajomością chwaliłem się potem w „Barze Owocowym” na MDM, a kto pamięta tamte czasy, ten chyba wzruszy się na dźwięk nazwy tego przybytku, znanego z awangardowych obyczajów jego młodzieżowej klienteli.

Kiedy więc po roku 1954 Sigalina i jemu podobnych architektów zaatakowali publicyści i ci, którzy jeszcze niedawno dostawali spasmów poetycznych na okoliczność pojawienia się ludu w śródmieściu, a teraz darli na strzepy kantaty o wozu narodów i chowali do tapczanów książki w rodzaju „Aby pokój zwyciężył” (KlW 1950) — było mi po prostu głupio i smutno. Dowiedziałem się bowiem, dopiero wtedy, że to właśnie człowiek z pałacu „Pod Blachą” był jednym z promotorów realizmu socjalistycznego w architekturze polskiej i on właśnie należał do zespołu (Stanisław Jankowski, Jan Knothe, Zygmunt Stepiński), który zaprojektował MDM czyli Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową, uznaną właśnie za sztandarowe nieporozumienie naszego budowania i opluwana, wykpiwana za: przerost „artyzmu” nad funkcją, fasadowość, eklektyzm, „irracjonalny pseudoreprezentacyjny dekonstrukcjonizm”, za „pompierskie kandelabry”.

Wynoszona pod niebiosa przez poetów i piosenkarzy („MDM, dzielnica zakochanych”), nagle spadała ta przestrzeń do koryta dowcipów obyczajowo-politycznych, gdzie gotowano smrodek wokół jej autorów, zapominając skwapliwie o tym, że Sigalin i wspomniani architekci oraz Zygmunt Skibiński zaprojektowali zaraz po wojnie Trasę W-Z, w literaturze fachowej uznaną za „fundamentalne i zrealizowane w rekordowym czasie osiągnięcie tych lat”, którego wartość polegała m.in. na szczęśliwym połącze-

niu nowoczesności samej trasy z za-
bytkowym kontekstem Starożytności.

Po raz drugi zetknąłem się z Sigalinem dopiero zimą 1981 roku. Oczywiście, nie poznał mnie. Przypomniałem mu wtedy pewien jego artykuł, opublikowany dawno temu, w 1944 roku, na łamach organu PKWN „Rzeczpospolita”, w którym sformułował tezę, że autentyczna architektura kraju to rezultat inteligentnego połączenia aktualnych potrzeb społecznych, współczesnych technologii i wybranych paradygmatów stylistycznych z miejscową (polską) tradycją budowania, nawet bardzo odległą w czasie. Zaskoczony, przynajmniej, że nie przypomina sobie tej publikacji, powiedział: „Dzisiaj tak samo myślę”.

W czasie rozmowy stwierdziłem, że ten szczupły, średniego wzrostu mężczyzna, z delikatnym uśmiechem na pociągłej twarzy, właściwie nie zmienił się fizycznie od czasu, kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy, 29 lat temu. Może było to złudzenie, nie wiem...

Z całą pewnością mogę natomiast powiedzieć, że zmieniły się społeczne opinie o MDM. Powolutku, w miarę, jak pokrywałam Polskę twardą geometrią „bloków” i osiedli, Marszałkowska Dzielnicę Mieszkaniową zdawała się odzyskiwać sympatię ludzi zwyczajnych i fachowców, no i dziś słychać opinie, że np. pl. Konstytucji („pompierskie kandelabry”) to jedyny w stolicy prawdziwy plac, czyli celowo zorganizowana przestrzeń o specyficznym, przyjaznym dla ludzi

klimacie emocjonalnym, to miejsce chętnie odwiedzane przez warszawianów nie tylko ze względu na istniejące tam „usługi” i instytucje, a dekoracje na fasadach są nawet czymś ożywym na tle blokowej monotonii. Ta dzielnica, okazało się, posiada własny charakter, czyli coś, co rzadko udaje się osiągnąć współczesnym architektom. Zwróćmy zresztą uwagę, że o komponujących ją budynkach nikt jakoś nie mówił i nie mówi „bloki”. Rehabilitacji doczekała się ponadto urbanistyka MDM, konkretnie — obowiązująca tam typ tzw. zabudowy obrzeżnej, polegającej na sytuowaniu domów wzdłuż ulicy i niedaleko siebie. Wyszło na jaw, że ludzie jakoś lubią tak urządzoną przestrzeń, która — w przeciwieństwie do rozluźnionej zabudowy osiedli — nie izoluje ich od życia miasta.

Oczywiście, powielanie MDM w dzisiejszych warunkach byłoby czymś nonsensownym, tym bardziej, że konserwowanie takiej architektury jest kosztowne i kłopotliwe (na pewno u nas, gdzie z remontami bieżącymi budynków zwleka się do czasu, kiedy zaczynają się sypać). Wydaje się przecież, że Marszałkowska Dzielnicę Mieszkaniową i jej psycho-społeczne dzieje to lekcja, którą powinien zaliczyć każdy współczesny polski architekt, nim zabierze się do samodzielnego projektowania. Poza tym poleciłbym lekturę wspomnianego artykułu Józefa Sigalina, który opublikowała „Rzeczpospolita” w 1944 r.

IJK

Horror po polsku

O TWIERAM nieoceniony „Filmowy Serwis Prasowy” i czytam sobie w nim z intelektualną rozkoszą opracowanie Jacka Tabęckiego na temat filmu „Wilczyca”. Marek Piestrak: „Potrzeba obcowania psychicznego i wizualnego z rzeczywistością różniącą się od dobrze znanej codziennej zwyczajności, fascynacja szeroko pojętą odmiennością i wyjątkowością, a także skrywane marzenie o władzy i wolności absolutnej, o przekraczaniu granic ludzkich możliwości, o dokonywaniu rzeczy niezwykłych, znalazły bogate odbicie w literaturze popularnej XX wieku. Rozbudowała ona znacznie, ostryżany w spuścizmie po wiekach poprzednich, świat wampirów, wilkołaków, nymf, supermanów, golemów i upiórów, by skutecznie docierać do

spragnionych tajemnic i niepokoju odbiorców. Jednym z najważniejszych i nie wysychających źródeł fantastyki literackiej i filmowej są ludowe wierzenia o grzesznikach, którzy po śmierci, jako istoty pozaziemskie, nadal ścigają upragnioną ofiarę”.

Te i inne zdania we wspomnianym opracowaniu — oparte jeszcze autorytetem markizy Du Deffend (1697—1780), która korespondowała m.in. z Walpolem i Wolterem, prowadziła jeden ze świetniejszych, jak stwierdza Tabęcki, salonów w Paryżu oraz oświadczyła pewnego razu: „Nie wierzę w duchy, ale bardzo się ich boję” — mają przekonać czytelnika, iż Marek Piestrak spełnił nareszcie nasze najskrytsze oczekiwania i filmowe zapotrzebowania, nakręciwszy film typu horror o pewnej niewiernej szlachciance, która po śmierci wcieliła się w wilczycę i co z tego wynikło.

Z horrorem jestem oswojony. Obcuje na co dzień z niezłym stadem wilkołaków, supermanów i upiórów, nie mówiąc już o różnych nymfach i nimfotkach. Ale ponieważ interesowało mnie, jak podobne sprawy wyglądały w minionym stuleciu, nie omieszkałem wybrać się na „Wilczycę”. Wszakże sam reżyser deklaruje w wywiadzie: „starałem się zrealizować film ciepły, romantyczny i nasycony polskością. Mniej ważne, kiedy rozgrywa się akcja — realia odpowiadają rewolucji krakowskiej 1846 r., atmosfera chyba bardziej powstaniu styczniowemu. Szczególnie zależało mi na stworzeniu właściwej atmosfery, właśnie polskiej, odpowiadającej czasom, kiedy w długie zimowe wieczory śladowało się przy kominku i opowiadało fantastyczne historie. Chciałem wyciągnąć kwintesencję z tajemniczości i niesamowitości malarstwa Artura Grottgera, między innymi poprzez mroczność i duszność wnętrza”. I tak dalej, i tak dalej...

Otóż okropnie nie lubię, kiedy twórca, chcąc sobie poużywać na ekranie za pośrednictwem wyjątków do księżycy wilków, zieleniaków, rozpadających się trupów, powieszonych karczmarzy z wywalonymi do pasa językami, sikającego na prawo i na lewo nosu pomidorowego udającego krew oraz

krzyżujących co pewien czas w niebogłosy aktorów — dorabia do tego jeszcze „historiozoficzną” otoczkę i na dodatek zaczepia Bogu ducha winnego, spokojnie spoczywającego w mogile twórcę „Polonii” i „Lituanii”. Jeszcze zaś gorzej, gdy pokazane wreszcie na ekranie „prekursorskie” dzieło (reklamuje się „Wilczycę” jako „pierwszy polski horror”) okazuje się wytworem czwartorzędnym w swoim gatunku. Takim, jakie w zachodnich perypetyjnych kinach pokazuje się jako tzw. „drugi film” seansu, na zasadzie zapchałdziury.

Istotą ambitnego horroru nie jest dzisiaj piętzenie na ekranie piramidy trupów i okrwawionych bebechów — o czym powinien doskonale wiedzieć przede wszystkim chyba Marek Piestrak, który praktykował przecież kiedyś u Polańskiego przy kręceniu „Rosemary's Baby” Stanley Kubrick rozegrał swoje „Lśnienie”, sięgając do atrybutów jak najbardziej „zwyczajnych” i „codziennych”, a przecież stworzył jeden z najstraszniejszych chyba, najbardziej wstrząsających horrorów w historii kina.

Istnieją też takie ważne elementy, składające się na jakość dzieła filmowego, jak gra aktorska (stojąca w „Wilczycy”, poza nielicznymi wyjątkami, na żenująco niskim poziomie), scenografia (wnętrze pracowni doktora Goldberga czy zewnętrzny „wystój” dworku w Sieniawce przypominają dekoracje filmowe z początków istnienia kina) czy wreszcie... prosta logika. Rozumiem, że w filmie, gdzie umarli wstają z grobów, może się niby zdarzyć wszystko. Ale kiedy główny bohater pali raz po raz do wilczycy-wilkołaka z dziewiętnastowiecznej dwururki, nie uzupełniając naboju, to za dziesiątym strzałem widownia zamiast cierpnąć z przerażenia, ryczy ze śmiechu.

Nie będę pisał już więcej na temat treści filmu, bo może ktoś z Czytelników wybierze się jednak mimo wszystko do kina. Ale naprawdę nie wiem i nie rozumiem, dlaczego Marek Piestrak, zdolny reżyser filmów dokumentalnych, odważny człowiek wspinający się po górach i pływający po morzach, aby przywieźć stamtąd interesujące, zapierające nieraz dech w piersiach reportaże, bierze się za podobne jak „Wilczyca” tematy.

M.D.

Andrzej z Janowa. Jesienią napisałem w tej rubryce, co myślę o Pańskim pseudonimie. Nie chcę się powtarzać. W nadesłanych utworach postępu nie odkryłem. Na całym Podlasiu trudno chyba „poczuć w dotyku i w pełnym ekscytriku” o co Panu w tych zapiskach chodzi. Poprzednich rad, niestety, odwołać nie mam podstawy. Niech Pan zajmie się czymś pożyteczniejszym.

Barbara J. Puławy. Odpowiadamy naszym korespondentom, bo piszą do nas i o to proszą. Pani sugeruje spełnić nie możemy. Trudno na łamach pisma prowadzić szkółkę dla młodych pisarzy. Naprawdę pisać nie można nikt go nauczyć i chyba nikt dotąd tego nie dokonał. Pragniemy jedynie utrzymać z czytającymi — także z tymi, którzy listów do nas nie wysyłają, ale dają odpowiedź — więź szczególnego rodzaju. Wspierać ich wtedy, gdy ich pisanie podnosi swój poziom, łagodzić ich gorczy, kiedy przynosi porażki. Kierunki literackie już istniejące, nasi Czytelnicy mogą poznać w podręcznikach licealnych i studenckich, a zupełnie nowe, te torujące sobie dopiero drogę, w czasopiśmie literackim i społeczno-kulturalnym.

Nowe utwory podobają mi się bardziej niż te zeszłoroczne. Rad byłbym poznać ich więcej.

Jerzy P. Lublin. Niech Pan się dobrze rozejrzy w otoczeniu, spróbujcie pomówić ze samym sobą. Czy naprawdę tak Pan odczuwa i tak mówi z najbliższą osobą? Zgrabnie w tych wierszach oddane są różne sytuacje. Ton tych utworów i przenośnie są nie tylko echem, ale nawet kopią poezji z początku tego wieku. Ich wartość stanowi otwartość i pewna drapieżność. Niech Pan koniecznie spróbujcie podobne przeżycia wyrazić nieco oszczędniej i bardziej współczennie. I pisze nadal Koniecznie!

Leszek J. Warszawa. Mały wybór, ale w tych wierszach, jakie Pan nadesłał, znajdują pewne wartości i rysującą się sprawność. Czeka na dalsze utwory.

T.J.

CO JEST W TEJ PIŁCE?



Przed Walią - Jugosławia

ZAKOŃCZYŁ się 1972 rok. Moja nowa drużyna — LKS — ukończyła rundę jesienną w środku tabeli. Przerwa. Kolejdy rozjechali się na wczasy i do sanatoriów, na leczenie. A ja zostałem w Łodzi. Zgodnie z tym, co kiedyś powiedziałem dla „Sportowca” Krzysztofowi Wądrodzkiemu (Będę piłką krwią, a do reprezentacji powrócę), nie przerwałem zajęć i nie zrobiłem sobie urlopu. Chciałem być w ciągłym ruchu. Trenowałem z hokeistami i koszykarzami. Bez przerwy chciałem coś od nich korzystać. Niejako na wyrost — zakładając, że może zagram przeciwko Walijskiemu i Anglikom — ćwiczyłem na parkiecie walkę pod tablicą. Najpierw oni mnie popychali, poszturchiwali i robili w konia, ale z czasem nauczyłem się robić to, co oni. Podpierałem, uczyłem się. Schodziłem mocno poobijany, ale zadowolony. Myślałem sobie, że „wyspiarze” nie będą bwardsi...

Inaczej wyglądały zajęcia z hokeistami. Tu próbowałem szczęścia i w bramce i na obronie. Miałem takich znakomych nauczycieli, jak reprezentant Polski: Walery Kosyl — bramkarz, Jurek Potz — obrońca, czy Krzysztof Białyński — napastnik. Od nich uczyłem się bezpardonowego wchodzenia ciałem w przeciwnika, ale i umiejętnego amortyzowania ataków, uderzeń barkiem, biodrem. Dużą satysfakcją sprawiło mi, na przykład, każde udane bodźcowanie „przeciwnika”.

Pracowałem jak wół. Myślałem wtedy, że może byliby i niezłe, gdyby zobaczył moją pracę trener Kazimierz Górski, który tak na mnie liczył. No i — wyobraźcie sobie — zobaczył. W połowie grudnia „Kazio” przyjął propozycję LKS-u i został koordynatorem szkolenia piłkarskiego. Radość moja nie miała granic i kiedy zakomunikowałem mi o tym trener, Paweł Kowalski, mało go nie pocałowałem z wdzięczności. Należy jednak zauważyć, że trener LKS zachował się, jak dzentelmen i sam gorąco popierał pomysł przyjścia Kazimierza Górskiego, mimo że on — Kowalski — nas trenował. Nie traktował tego jako dowód nieufności klubu, co do jego fachowości. Jest to u polskich trenerów cecha rzadka.

Przygotowania do wiosny miały szczególny charakter. Nie tylko dla LKS-u, nie tylko dla mnie. W ogóle dla polskiej piłki. Nadchodzący rok 1973 miał przynieść spotkania eliminacyjne do Mistrzostw Świata w RFN. W losowaniu — jak powszechnie twierdzono — nie mieliśmy szczęścia. Trafiliśmy do grupy V, dołosowani wraz z Walią do Anglii, światowego potentata piłkarskiego. Warto przy okazji przypomnieć inne europejskie grupy...

- I: Węgry, Austria, Szwecja i Malta
- II: Włochy, Szwajcaria, Turcja i Luksemburg
- III: Belgia, Holandia, Norwegia i Islandia
- IV: NRD, Rumunia, Finlandia i Albania
- V: nasza
- VI: Portugalia, Bulgaria, Irlandia Północna i Cypr
- VII: Hiszpania, Jugosławia i Grecja
- VIII: Szkocja, Czechosłowacja i Dania
- IX: Francja, Irlandia i ZSRR

Drużyna RFN, jako gospodarz, miała „gwarantowane” miejsce w puli finałowej.

Łatwo było zauważyć, iż bardzo ciężawie mogło być w grupach I, III, VI,

VII, IX. Na naszą nie zwracano uwagi, uznając, że Anglicy zaliczą eliminacje „w cuglach”.

Przypomnę jeszcze, że nie mieliśmy nigdy szczęścia do mistrzostw. W 1934 roku wyeliminowali nas późniejszy wice mistrzowie świata, Czesi. W 1938 roku, po sensacyjnym pokonaniu Jugosławii — ze znakomitym bramkarzem Glazrem — (4:0 w Warszawie i 0:1 w Belggradzie), poknęliśmy się na słynnej drużynie Brazylii z Leonidasem (5:6, po dogrywce). W 1958 roku wyeliminował nas ZSRR po trzecim dodatkowym meczu (0:2). No i w 1970 roku do Meksyku pojechała zamiast nas Bułgaria. Wtedy nasz awans został pogrzebany w Rotterdamie, gdzie Holendrzy pokonali nas 1:0, strzelając gola w 93 minucie meczu. Na nic się zdały znakomite mecze z Bułgarią i Holandią (3:0 i 2:1) oraz pogromy Luksemburga (8:1 i 5:1). Zabrakło nam tego jednego punktu. Kończąc już te wspominki przypomnę, że końcowa tabelka wyglądała tak:

1. Bułgaria	3	12:7	(+5)
2. Polska	3	19:8	(+11)
3. Holandia	7	9:5	(+4)
4. Luksemburg	6	4:24	(-20)

Było — minęło. Teraz wszyscy czekał na nową edycję walki o prymat światowy.

Terminarz gier był dla nas w zasadzie korzystny. Drużyny brytyjskie miały do 24 stycznia 1973 roku zakończyć boje między sobą. Potem, 28 marca, jechaliśmy do Cardiff. 6 czerwca podejmowaliśmy Anglików, a 26 września Walijszczyków. Kończyć rozgrywki miał 17 października mecz na Wembley Anglia — Polska. W zasadzie poza nieco zbyt wczesnym, jak na nasz cykl ligowy, był mecz w Wali. Grać mieliśmy go niedługo po starcie rundy wiosennej, a wiadomo, że z pogodą w marcu bywa u nas różnie. Nader korzystny był natomiast termin chorowskiego pojedynku z Anglią. U nich w czerwcu — już koniec sezonu rozgrywkowego, a u nas — w sam raz czas na formę. Również koniec września był dobry na Walijszczyków, bo u nas rozgrywki w toku, pogoda też powinna dopisywać. Data ostatniego meczu zdawała się preferować Anglików, ale była dla nas lepsza niż, na przykład grudniowa.

Przy takim „rozkładzie jazdy” wszystkie drużyny, które dawać miały reprezentantów, nastawiły się na spędzenie zimowej przerwy w ciepłym klimacie. I tak, na przykład, „Górniki” Zabrze poleciał do Ameryki Południowej, a do Jugosławii (bliżej, taniej) ruszyli piłkarze krakowskiej „Wisły”, mieleckiej „Stali”, poznańskiego „Lecha” oraz dwie drużyny łódzkie: LKS i Il-ligowy „Widzew”.

Okres poprzedzający lutowy wyjazd nad Adriatyk przepracowaliśmy (w LKS-ie) ćwicząc siłę i kondycję w Łodzi, a potem w Spale, gdzie trenowaliśmy na tartanie szybkość i wytrzymałość biegową. Do Jugosławii wybieraliśmy się z nami oczywiście Kazimierz Górski, co cieszyło wszystkich, a mnie najbardziej. Zdawałem sobie sprawę, że od tego, jak przepracuję to zgrupowanie, będzie zależał mój los reprezentacyjny. Wydawało się, że szanse moje są spore, i w tym była zarówno zasługa moich dobrych występów w LKS-ie, jak i pewne — jeśli tak to nazwać — szczęście, wynikające z wycofania się z kadry Huberta Kostki. Pozostawaliśmy wówczas w zasadzie tylko Marian Szeja i ja.

Naszą bazą miało być miasteczko Porec, na półwyspie Istria. Wstępnie zakontraktowane mieliśmy cztery mecze kontrolne z drużynami jugosłowiańskiej II ligi.

Przyznać trzeba, że trafiliśmy bardzo dobrze. Hotel, w którym zamieszkaliśmy, był niemal pusty. Oprócz nas mieszkało w nim kilku konserwatorów zabytków, zajmujących się restauracją Bazyliki Eufrazego, najcenniejszego — ponoć — zabytku bizantyjskiego nad Adriatykiem. Niestety, zwiedzanie świątyni okazało się niemożliwe ze względu na prowadzone prace.

Treningi odbywaliśmy dwa razy dziennie w miasteczku Vršač, oddalonym od hotelu o 10 kilometrów. Boisko, na którym odbywały się zajęcia, nie było najlepsze, ale w kraju takiego nie znaleźliśmy za żadne pieniądze. Mogliśmy ćwiczyć zarówno piłkarską technikę specjalistyczną, jak i taktykę. Zasuwaliśmy jak małe samochody. Zwykle przed południem trenerzy Górski i Kowalski aplikowali nam technikę, a po obiedzie już sam „Kazio” męczył nas z taktyki. Do znużenia tłumaczył każdemu, jak należy się zachowywać na boisku w różnych sytuacjach wynikających z poczynań przeciwnika. Kiedy nie skutkowało wyjaśnianie „na gębę”, Górski rozkładał kapsle od piwa, Coca-Coli, czy wody mineralnej, które miały udawać piłkarzy i cierpliwie przesuwał je na wszystkie strony, w zależności od tego, gdzie znajdowała się „piłka”, czyli kulka z chleba. Te jugosłowiańskie lekcje pozostaną mi na długo w pamięci. Dotyczyły one jednak bardziej graczy pola, niż mnie.

Ze mną i rezerwowym bramkarzem LKS-u, Puchalskim, pracował trener Kowalski. Czasami dołączali do nas obrońcy. Kazimierz Górski miał pod opieką pomocników i napastników: Maleńkiego, Kasalika, Ostalczyka, Mszycę, Białka, Drozdowskię. Podczas gdy oni ćwiczyli szybkie wyjścia do piłki, zagrywki z rogów, kornerów, wrzuty z auu, my broniliśmy niezliczone strzały z różnych odległości, chwytaki piłek zniżających na różnej wysokości, bitych prostym podbiciem, bokiem stopy, uderzane „fałszem”, z rotacją itd. Związałem się jak w ukropie. Przebrałiśmy też wybieganie do podań przeciwnika adresowanych z rogów, z wolnych, z dośrodkowań. I tu miałem prawdziwą satysfakcję, bowiem na przedpolu byłem trundy do pokonania. Kolejdy atakujący mnie podczas wyskoku z reguły odbijali się ode mnie, jak od ściany. Procentowały w ten sposób zajęcia z koszykarzami i hokeistami.

Na koniec treningu, trwającego zwykle dwie godziny, zakładałem się z trenerem Kowalskim o to, ile „jedenaście” (w dwudziestu próbach) wbię celnie do mojej bramki. Bywało, że udawało mi się obronić 12—13 strzałów. Nie pamiętam natomiast, aby trener wbił mi więcej goli niż czternaście. Przyznaję, że była to najbardziej frapująca część treningu i koleddy z drużyny nawet przyjmowali zakłady, ile puszcze.

W Porecu było nudno. Miasteczko o tej porze roku było jak wyludnione. Brakowało turystów, zwykłego gwaru i ruchu wakacyjnego. Któregoś dnia — ni stąd, ni zowąd — przed hotelem pojawiło się wesołe miasteczko. Chłopak zartowali, że je ktoś specjalnie dla nas sprowadził. Odtąd wolne chwile spędzaliśmy na strzelnicach, karuzelach, huśtawkach. Największym jednak powodzeniem cieszyły się gokarty. Pojazdy te były specjalnie przystosowane do szaleństw, zderzeń, karamboli itd. Obudowane były grubą gumą, która zabezpieczała prowadzących przed urazami. Tylko tego nam było trzeba! Za jedynę pięć dinarów można było zależeć przez chyba pięć minut. Wpadło na kolegów, ścigać się. Prawdziwym pasjonatem tej zabawy okazał się Puchalski, który odkrył, że w gokartach można podkręcać dopływ paliwa i zwiększać przez to szybkość pojazdu. Nie było na niego siły na torze — wyprzedzał wszystkich. Do czasu jednak, bo polapałiśmy się w tych sztuczkach i my i... obsługa lunaparku. Mój kolega z bramki zyskał wtedy pseudonim „Fiti-paldi” (od nazwiska ówczesnego mi-

strza Formuły - 1). Przydomek ten nadał mu Tosiek Szadkowski, znany kawalarz, zgrzywas i klawy kumpel. Podczas tego zgrupowania był on etatowym zabawiającym, rozmieszcaczem i opowiadaczem kawałów oraz nieprawdopodobnych historii, które rzekomo przeżywał. I w swoim sportowym i — przywrotnym życiu.

Pobyt w Jugosławii dawał nam nie tylko okazję do harówki boiskowej, ale także znakomitego relaksu psychicznego.

Mecze sparringowe? Owszem były. Pierwszy z FC Maribor wygraliśmy 2:1 (2:0), cały czas przeważając. Oba gole strzelił Mszyca. Ja bronilem poprawnie i przyznać trzeba, że specjalnie nie napracowałem się. Drugi mecz graliśmy z I-ligową „Olimpią” Lubljana, zespołem z czółówki ligi jugosłowiańskiej. Przeciwnik potraktował go bardzo poważnie i walczył dosłownie o każdą piłkę, tak jakby to był Puchar Europy i co najmniej półfinal Jugosławianie nie oszczędzali naszych gości, a i my nie byliśmy żużni. Trener Górski krzyczał do nas, żebyśmy uważali na nogi. Przeciwnikowi udało się strzelić bramkę i odtąd murowali dostęp do swego pola karnego i cięli nas równo z trawą. Sędzia, widząc, co się dzieje, przerwał kopanie o 10 minut wcześniej. Następnie wygraliśmy z „Jardarem” Porec, drużyną z miejscowości, gdzie mieszkaliśmy 2:1 (1:0). Też nie było to najlepsze na świecie widowisko. Gole: Maleńki i Grębosz. Kolejne spotkanie z „Pristiną” zakończyło się bezbramkowo i tu już mogłem powiedzieć coś niecoś o swojej formie. Bronilem bardzo dobrze. Parę razy w kiepskich sytuacjach.

Na koniec pobytu „Olimpia” Lubljana zaprosowała nas rewanż, co oczywiście przyjęliśmy od razu. Trener Górski długo ustalał taktykę na to spotkanie. Mieliśmy rozbijać ataki przeciwników już w środku boiska i kontratakować skrzydłami, na których grali Mszyca i Maleńki. Do przerwy zakończyło się bez bramek. Jugosłowianie kilkakrotnie doszli do naszego pola karnego, ale tu już nie dałem im pogrążyć. Dwukrotnie pokonałem w sytuacjach sam na sam ich asa i reprezentanta kraju, Amaraška. Po przerwie „Olimpia” ruszyła ostro i została ukarana. Po szkolnej akcji, wielokrotnie przerabianej na kapslach, po trzech szybkich podaniach na linii 16 metrów piłkę otrzymał Ostalczyk, podciągnął trzy metry i nie dał żadnym szans bramkarzowi Skuljowi. To była 58 minuta. Dziesięć minut potem Kasalika znakomicie podał prostopadle do Maleńkiego, a ten z pięciu metrów ponownie wpakował piłkę do siatki. Tego było już za dużo! „Olimpia” rzuciła się do ataku. W 82 minucie nasza obrona nie upilnowała Krajncę i ten z bardzo bliskiej odległości, kiedy myślałem, że strzelił, podał do tyłu do nadbiegającego Amaraška. Ten się nie pomylił! Kociol trwał dalej. W ostatniej minucie Korzeniewski zderzył się z Krajncem przed polem karnym, ten jednak rozpiędem przekosił kawał jeszcze trzy metry i sędzia pokazał na „wapno”. Teraz mogłem wykaazać się efektami zakładów z trenerem Kowalskim. Karnego strzelał Amarašek. Wziął długi rozbieg, chcąc mnie najwyraźniej przestraszyć. Kiedy był o jakieś dwa metry od piłki spojrział w moim kierunku, a ja wykonałem ruch w lewo, po czym od razu rzuciłem się z mocnego wybiecia, w prawo. Czulem tylko jak odbijam prawą dłoń mocno uderzoną piłką. Za chwilę rzucili się na mnie koleddy z gratulacjami. Obroniłem karnego! Podobno Paweł Kowalski przed strzałem Amaraška powiedział do trenera Górskiego: Niech się pan nie martwi. Tomek to obroni!

Wróciliśmy do kraju w znakomych humorach. Na lotnisku w Belggradzie okazało się, że Innym drużynom nie dopisała pogoda, co potraktowaliśmy jako dobry omen przed rundą wiosenną. Trener Górski powiedział mi w samolocie, że powołuje mnie na mecz kontrolny z USA. Poczulem, że jestem coraz bliżej Wali...

(cdn)

Do druku przygotował
Waldemar Piasecki

ROZWIĄZANIE KONKURSU „TOMKA” I „KAMENY”

1. 15 (lub 20, jeśli liczył występ w drużynie juniorów „Gwardii” Wrocław).
2. 25.08.82 r., „Cracovia”.
3. 18.11.81 r., Hiszpania.
4. 65
5. „Nafta”.

Nazwiska laureatów konkursu podamy w następnym numerze.